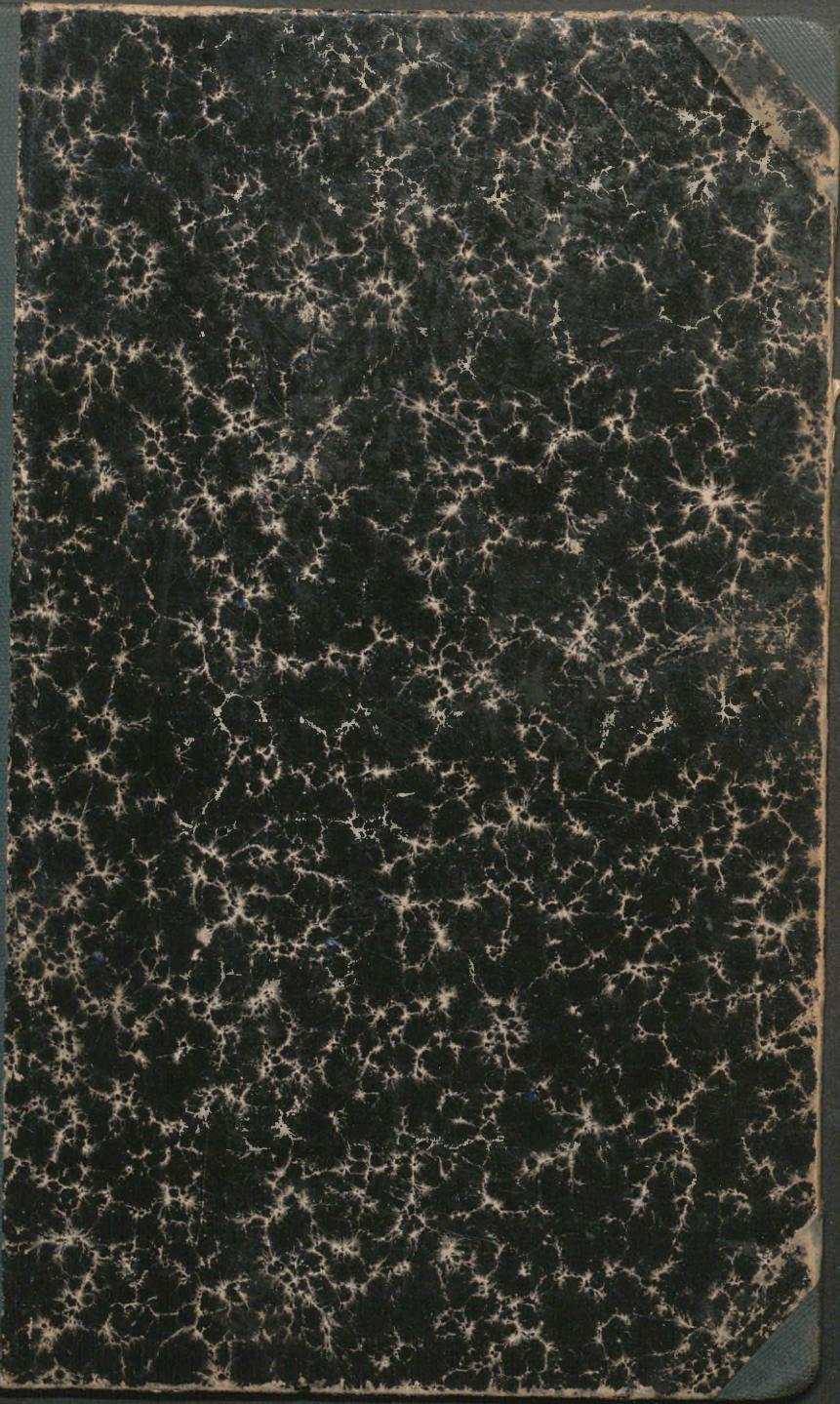
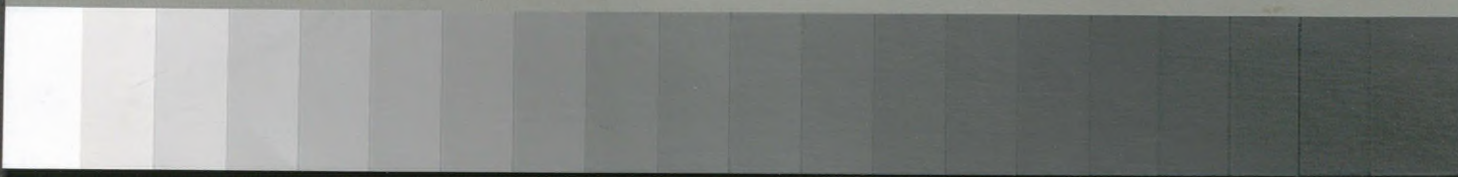




Grey Scale #13

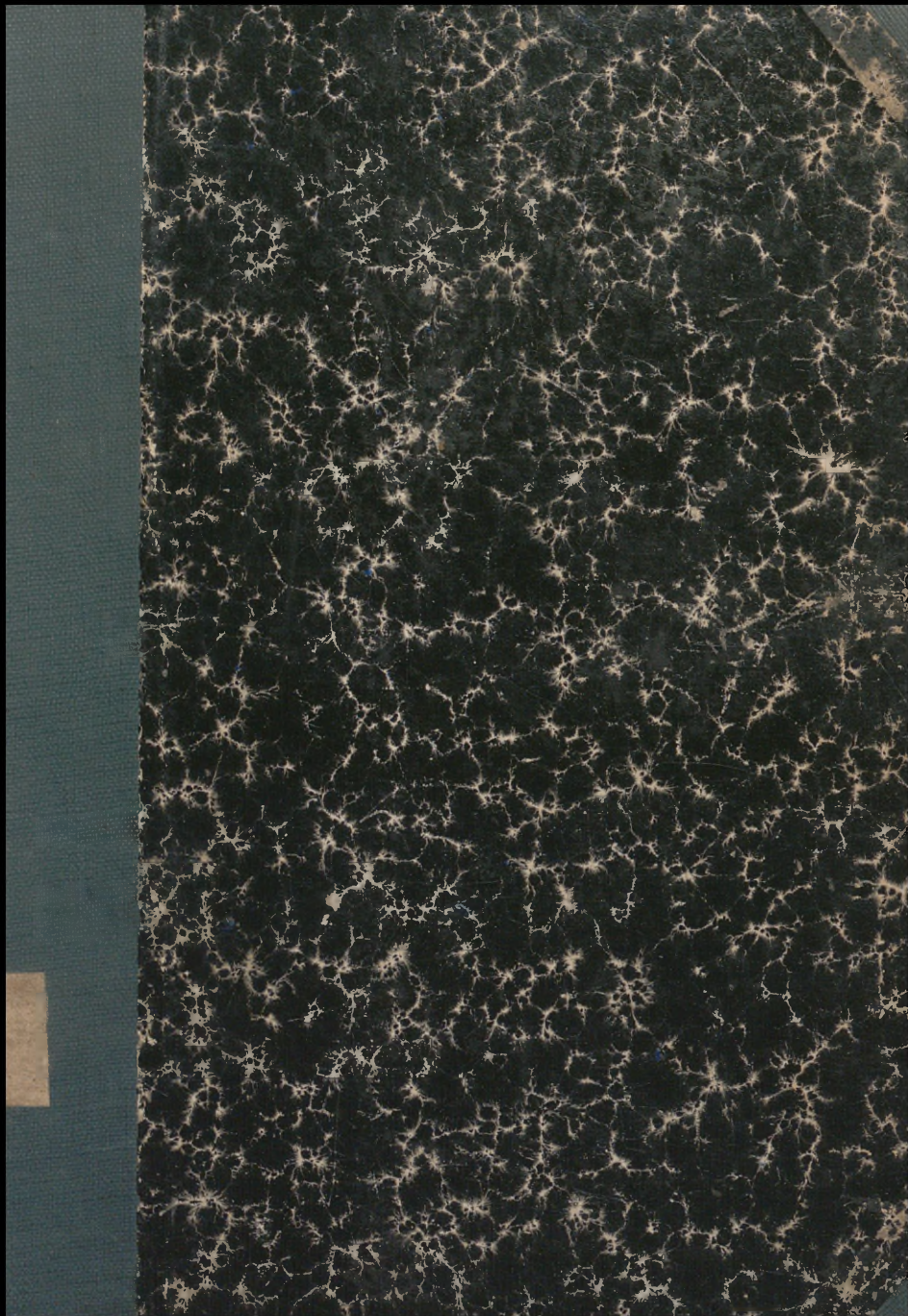


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

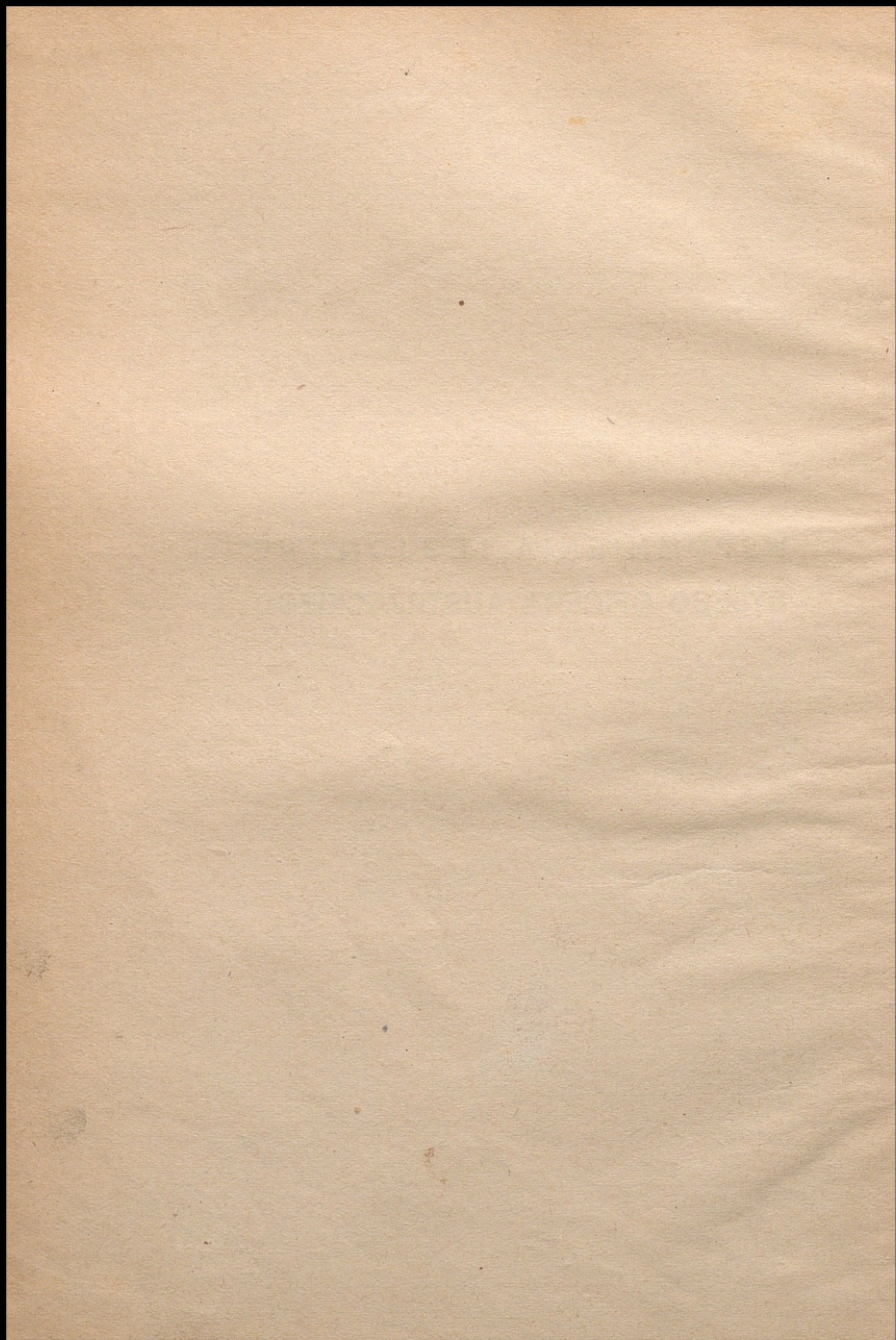


Colour Chart #13





WSPOMNIENIA LEGJONOWE  
BYŁEGO OFICERA AUSTRJACKIEGO



STANISŁAW KWAŚNIEWSKI

**WSPOMNIENIA LEGJONOWE**  
BYŁEGO OFICERA AUSTRIACKIEGO

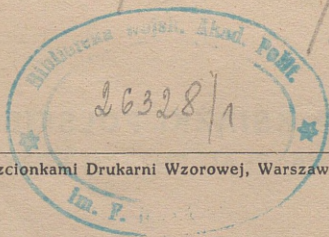


DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ  
WARSZAWA, PLAC TRZECH KRZYŻY 8.

PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE

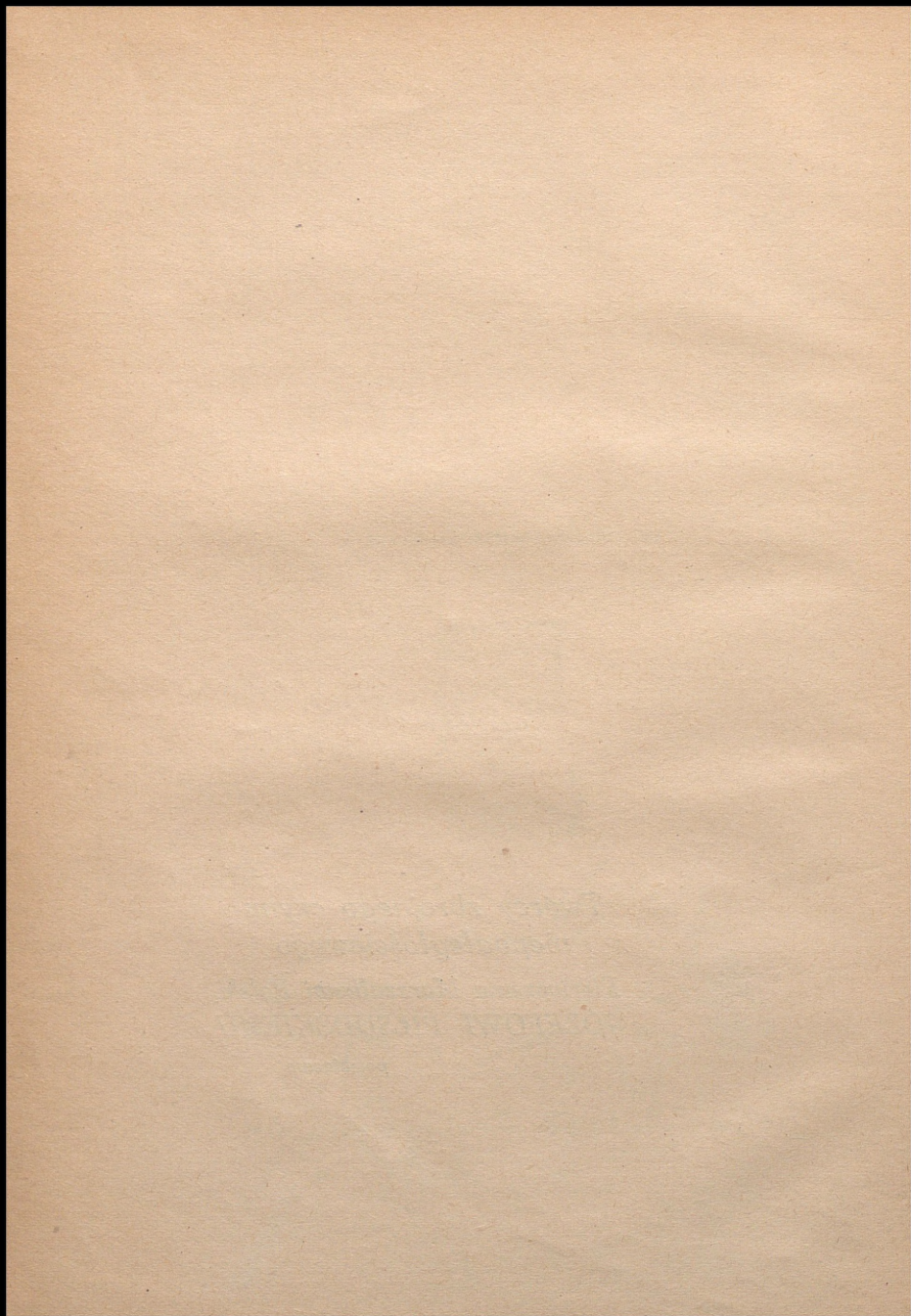


~~7269/1~~



Odbito czcionkami Drukarni Wzorowej, Warszawa, ul. Długa 20.

*Twórcy zbrojnego czynu  
niepodległościowego  
Pierwszemu Marszałkowi Polski  
JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEMU  
poświęcam*



## PRZEDMOWA

Wziąłem się do pisania tych wspomnień pod wrażeniem części pierwszej „Wspomnień legjonowych”. Od ukazania się tej książki minęło już sporo czasu, a jednak wrażenie jej jeszcze we mnie żyje. Jeszcze nie znalazł się nikt, ktoby na wspomnienia te zareagował na piśmie, ktoby odpowiedział na zawarte w nich bardzo poważne zapytania, ktoby zaprzeczył słuszności wielkiego żalu autorów. A więc żal ten jest słuszny? Bo wrażenie to we mnie (wyczytałem je raczej pomiędzy wierszami) było przede wszystkim wyczuciem wielkiego żalu, wielkiej pretensji pod adresem, niestety, nie-małego odłamu społeczeństwa polskiego, pretensji o niezrozumienie, a nawet, cogorsza, o po-niewieranie niekiedy wzniosłemi hasłami i czy-nami tych, których potocznie do dnia dzisiej-szego nazywa się „legjonistami”, raz z wyra-

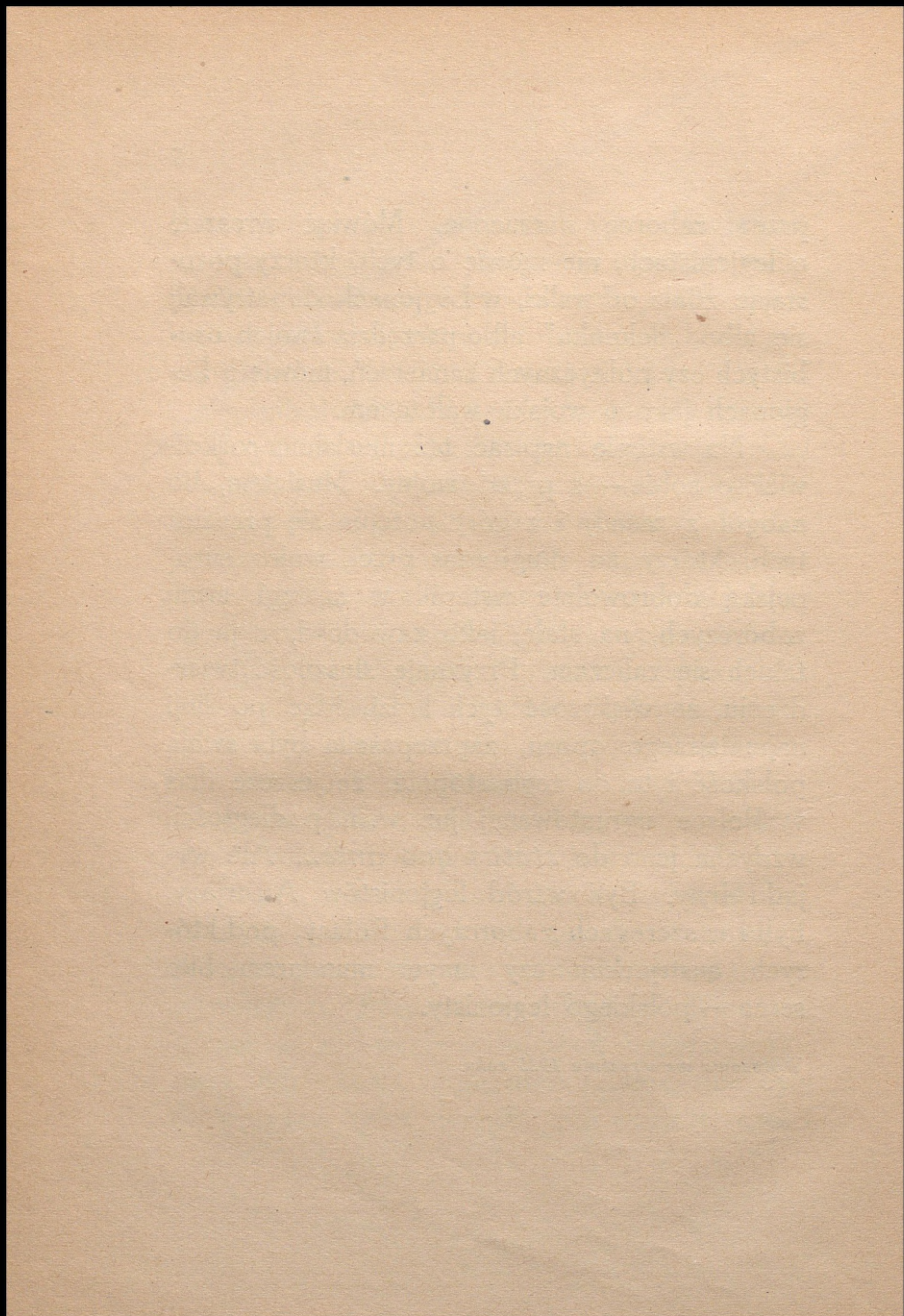
zem życzliwości, a czasem nawet zachwytu, raz—że użyję słowa silnego—z wyrazem potępienia, zwłaszcza tych z pierwszej brygady. Tymczasem ludzie ci chcą być uznanymi bodaj czy nie głównymi twórcami naszej wolności, całości i niepodległości, jako jedyni, względnie pierwsi propagatorzy zbrojnego czynu polskiego. Czy słusznie czyn ów nazywają polskim niepodległościowym, o tem właśnie napisałem tych kilka arkuszy — ja, były zawodowy oficer austriacki, odpowiadając przedewszystkiem na pytanie, czy pomiędzy tymi „legjonistami” a wojskiem, czy też rządem austriackim istniała jakakolwiek „zmowa”, względnie wspólnota duchowa, o którą tak często posądza się „galicyjskie” Legjony.

Mówiąc o Legjonach, nie czynię różnicy pomiędzy poszczególnymi brygadami, jakkolwiek z różnic, jakie istniały, dobrze zdaję sobie sprawę, a mówię tylko o takich Legjonach powstałych po stronie frontu państw centralnych, które chwyciły za oręż w najszczerzej wierze wywalczenia Ojczyźnie niepodległości. Wiem i ja o tem, że nie wszyscy, co nosili mundur legjonisty, mieli serca prawdziwie polskie, ale były to przecież tylko wyjątki, po większej części

przez zaborcę narzucone. Mówiąc wreszcie o legionistach, nie mówię o tych, którzy pozostając zdala od walki, w Legjonach dopatrywali się albo „dekunku” albo narzędzia swoich osobistych czy politycznych zamierzeń, mówię o Legjonach jako o wojsku walczącym.

Na wstępie napisać też musiałem cośkolwiek o sobie — z przed wojny. Musiałem, bo naogół z zasady i z góry potępia się przecież tych, którzy na długi czas przed wojną europejską dobrowolnie wstąpili w szeregi armij zaborczych, na stałe, jako zawodowcy, a ja do takich się zaliczam. Przyznaję słuszność twierdzeniu, że większość tych ludzi, idąc po linii najmniejszego oporu, zaprzepaściła była swoją polskość i to do tego stopnia, że jeszcze dziś w Polsce, ugruntowanej już w niepodległości, wzdycha jeno do *status quo ante...* Ale wyjątki były. Byli wśród legionistów Austriacy, byli i w szeregach zaborczych Polacy, pod których austriackim czy innym mundurem biło serce — polskiego legionisty.

*Warszawa we wrześniu 1925 roku.*



## I.

### PRZED WOJNĄ.

Śpieszno mi było w roku 1905 po maturze pozbyć się jednorocznej służby w wojsku austriackim, chciałem mieć spokój w czasie studjów na uniwersytecie. Zaledwie trzy miesiące wypocząłem po zdjęciu mundurka uczniowskiego w pierwszym i jedynym w mem życiu ubraniu cywilnem, aby znowu ubrać się w mundur jednorocznego ochotnika 100 cieszyńskiego pułku piechoty austriackiej w Krakowie.

Zarówno z domu, jak i z ławy szkolnej, wyniosłem silną wiarę w niepodległość Ojczyzny, do rządu i wojska zaborcy nie posiadałem bynajmniej sentymentu, ani przekonania, dlatego też, wstępując na rok do wojska austriackiego, ani przez chwilę nie przypuszczałem, że pozostanę w niem na stałe. Nęciły mnie dalsze studja i raczej zawód nauczyciela, wychowawcy młodzieży, aniżeli zawód austriackiego oficera. Ponadto, wstępując do wojska zaborczego jako szeregowiec, degradowałem się ze zbyt świeżego jeszcze w mej pamięci stopnia pol-

skiego „generała“ i niedawno złożonego zaszczytnego tytułu naczelnika uczniowskiej organizacji wojskowej w Krakowie, której przewodziłem z wyboru kolegów, tej dojrzewającej młodzieży grodu krakowskiego, którego duchowym wodzem podówczas był Stanisław Wyspiański. Różnie mówiło się później o tajnych sprężynach owej organizacji, nie znałem ich — czytelnik mi uwierzy. Tak więc nic nie składało się na to, abym w wojsku austriackim pozostał na stałe.

Pomimo to wszystko, pomimo całą niechęć, powiem — wręcz nienawiść do wojska zaborczego, ubierałem się jednak w mundur żołnierski Austriaka i brałem na ramię broń wroga z jakimś dziwnym nabożeństwem. Wkrótce żołnierka poczęła mnie nawet zachwycać. Jeszcze Sienkiewiczowski „Potop“ szalał po mojej wyobraźni, jeszcze Mickiewiczowskie prorocтва objawiały mi się we śnie jak na jawie, na ćwiczeniach w oczach mej duszy austriaccy dragoni przeobrażali się w polską husarję, ułanom austriackim podawałem w dłoń lance z polskimi chorągiewkami. Uczyłem się zamykać oczy na kolory czarno-żółte i wzrok duszy kierowałem gdzieś hen! w przeszłość i przyszłość wojskową Polski.



Rok mojej służby wojskowej kończył się. Komendant szkoły jednorocznych namawiał mnie usilnie

do pozostania w wojsku. Choć mówił do mnie o tem po niemiecku i rzecz zachwalał jedynie z czysto zawodowego punktu widzenia, namowy jego zaczęły mi zwolna trafiać do przekonania, może dlatego, że był to jednak Polak i przez podkomendnych powszechnie szanowany i lubiany oficer. W domu opiekunka moja, wdowa po oficerze austriackim, również Polaku, namawiała mnie także i to bardzo gorąco, gdyż rodzice moi, umierając przedwcześnie, nie pozostawili mi środków pieniężnych na dalsze studia i chodziło o to, abym jaknajprędzej usamodzielniał się. Począłem się naradzać z kolegami z gimnazjum. Przyśniła mi się rola Konrada Wallenroda, zaczęły uspokajać moje wyrzuty sumienia coraz częściej powtarzające się głosy, że Polska powinna mieć wszędzie swoich ludzi, a więc także w wojskach zaborców. I tak w październiku 1906 roku zostałem aspirantem na zawodowego oficera austriackiego.

Jeszcze nie zanosilo się na wojnę i Austria spoczywała w błogim pokoju. Jeszcze jedynym ideałem przeciętnego oficera austriackiego była kawiarnia i dziewczyna, w beztrosce lekkiego i wesołego życia płynęły mu dni, tygodnie i miesiące. Bałem się przyzwyczaić do tego życia, uciekałem przed niem, zamykałem się przed kolegami w mojej izdebce koszarowej na Prądniku Czerwonym pod Krakowem i kiedy po godzinie piątej popołudniu ucichły głosy niemieckiej komendy i bracia żołnierska rozeszła się

na miasto, puszczałem wodze mym myśлом niewolnym. Biegły one zawsze na polskie pobojowiska..... Marzyłem, śniłem cudny sen, że kiedyś, gdy już poznam rzemiosło wojenne, i gdy już polska, a nie austriacka zabrzmi tu pobudka, obudzę się nie austriackim lejtnantem, lecz wstanę w polskim mundurze i znajdę się pomiędzy wodzami polskiego wojska i narodu. Byłbym zresztą — jak to się mówi — złym żołnierzem, gdybym w swoim, choć austriackim, tornistrze aspiranta oficerskiego nie nosił buławy polskiego marszałka.

Tymczasem 1 stycznia 1907 roku zostałem mianowany lejtnantem austriackim i pozostałem nim aż do mobilizacji 1914 roku.



Niedługo po przyszyciu gwiazdy lejtnanta spotkałem się z mym byłym profesorem literatury polskiej, ś. p. Antonim Mazanowskim.

— Jak to... to pan pozostał w wojsku, w wojsku austriackim? To... to... jak my powstaniemy, to... to... pan nas będzie mordował? — zapytał mnie, zacinając się swoim zwyczajem, kochany powszechnie profesor.

Na chwilę oblałem się rumieńcem wstydu, ale niedługo wstyd zamienił się w mojej rozżalonej duszy na gniew i z gniewem też odpowiedziałem:

— Czy pan profesor nie uważa, że właśnie w wojskach zaborców powinniśmy mieć ludzi, którzyby nie tylko polskich powstańców mordować nie pozwolili, ale nawet pomiędzy powstańcami się znaleźli?

— A to.. to co innego! — rzekł, serdecznie ściskając mą dłoń, profesor i ucałował się ze mną „z dubeltówki“, przeprasząc za przykrość wyrządzoną.

Spotkanie to utkwiło mi w pamięci jak drogowskaz na dalszą służbę wojskową.



Mijały lata...

Z początkiem 1910 roku przeniesiono mnie z bataljonem 100 p. p. do Bośni, do Banjaluki, gdzie przesiedziałem przeszło cztery lata, do wiosny październikowego roku 1914.

Ciężko było mi na tak dalekiej obczyźnie, daleko od swoich, daleko od Krakowa, ciężko i trudno zachować polską duszę pod austriackim mundurem. Nie zapomniałem jednak ani języka, ani też zapomniałem moich zobowiązań... Nie zwątpiłem i tam, choć w rozmowach o Polsce z rodakami, kapitanem (dziś pułkownikiem) Krysztoforskim i kapłanem (dziś ś. p. dziekanem) ks. Idecem, w duszy niejedną gorzką łzę wylałem. Tęskniłem za Krakowem...



Chwilami wydawało mi się, że oddalałem się nie tylko w przestrzeni, ale i w duszy od moich snów, od moich marzeń...

Dopiero rok 1912/13, mobilizacja przeciwko Serbji, dała mi po raz pierwszy realniejszą nadzieję na ziszczenie się tych marzeń o wojnie europejskiej, z której skorzystać miała Polska. Zapał wojenny, jaki mnie wówczas opanował, był tak wielki, że przypłacić go musiałem aż 10-dniowym aresztem domowym za wesołość, po prostu za — pijaństwo.

Wówczas to jeden z kapitanów bataljonu, Niemiec zagorzały, ale oficer dzielny i poważny, zartował sobie ze mnie, że dlatego tak śpieszę się na wojnę, bo pragnę po niej zostać szefem polskiego sztabu generalnego. Kapitan ów poległ zaraz na początku wojny, nie doczekał, ale przypuszczenie jego sprawdziło się do pewnego stopnia, bo dziś, choć nie szefem, jestem jednak pułkownikiem polskiego sztabu generalnego.



Powróciłem do Krakowa w tym czasie przedwojennym; kiedy to już na błoniach, na wojskowych placach ćwiczeń i na strzelnicach pod Krakowem coraz częściej i gęściej widywało się polskich strzelców — z karabinami, szkolących się bojowo w tyral-

jerze... Chłopcy spoglądali na austriackiego oficera z ukosa, ale najwidoczniej dokładali starania, aby takiemu przechodniowi zaimponować. Chwyty broni szły może mniej sprawnie, aniżeli w c. i k. wojsku, gdzie do parady niemal większą niż do wyszkolenia bojowego przywiązywano wagę, za to podczas ćwiczeń polowych uderzało u strzelców na pierwszy rzut oka stokroć większe zainteresowanie i ochota.

Dziwili się moi koledzy austriacy i chwalili, jakkolwiek nie ukrywali niechęci i pewnej wręcz pogardy dla takiego „pospolitaka“, który ośmielał się na austriackich placach ćwiczeń używać komendy nie niemieckiej, strzelać na c. i k. strzelnicach z c. i k. karabinu, a za to wszystko nawet nie salutował, ba nawet nie wymijał pana lejtnanta na trzy kroki. Pytano mnie w pułku, czy ci strzelcy potrafią w wypadku wojny z Rosją wzniecić powstanie w *R u s s i s c h - P o l e n*, bo o to przecież Austriakom chodziło, czy jednak Piłsudski, o którym mówiono, że jest rewolucjonistą, zadowolony się przyłączeniem Kongresówki do Galicji, bo o *G r o s s p o l e n* przecież nie mogło być mowy. Nietrudne były odpowiedzi na takie pytania; głupie były pytania, głupie odpowiedzi.

Służyłem — jak wspominałem — w 100 p. p., który w Krakowie miał opinię pułku raczej niemiecko-austriackiego, bo rekrutował się ze Śląska Cieszyńskiego i części Moraw, a jego korpus oficerski

był w znacznej większości niemiecki (Polaków było zaledwie kilku), więc jeżeli chodzi o sąd tego, co wobec tej polskiej „ruchawki” w Krakowie wyczuwało wojsko austriackie, a w szczególności oficerowie, nie mówiąc o tych niewielu Polakach, którzy poza nazwiskiem zachować zdołali w wojsku austriackim także i duszę polską, to mój sąd może tu słusznie być przyjęty za właściwy w stosunku do uczuć ogółu austriackiego. Pułki piechoty 13, 20, 56, stacjonujące w Krakowie, były to pułki czysto polskie i posiadające sporą ilość oficerów Polaków (w 56 p. p. mówiono nawet w kasynie oficerskiej po polsku); wiem, że w tych pułkach myślano i mówiono o polskim strzelcu nieco inaczej, wiem, że nie jeden oficer Polak z tych oddziałów pomagał nawet strzelcom życzliwie. „Stowacy” (tak nazywano w Krakowie pułk 100-ny) nie tylko nie pomagali, ale wręcz potępiali powolność tych władz austriackich, które używały młodzieży polskiej broni, tego miecza obosiecznego. Ich zdaniem — polski „Kanonenfutter” miał przecież czas nauczyć się władania bronią — w wojsku austriackim. W kantynie na Woli Justowskiej stare pijaki, kapitanowie i oberlejtnantsy „na turze”, kończyli wszelkie dyskusje na temat polskiego strzelca takimi słówkami jak *L a u s - b u b e n* (smarkacze) i t. p.

Taka to była wspólnota ducha austriackiego i strzeleckiego przed wojną w okresie tworzenia organizacyj strzeleckich. Nie opisuję tutaj rzeczy

znanych powszechnie, stosunku służbowego strzelców do władz austriackich i t. p., bo o to przecie nie chodzi; chodzi o jakąś wspólnotę ducha i może zmowę w zamierzeniach...

Czy z wybuchem wojny nastąpiła pod tym względem zmiana, o tem w następnych rozdziałach.

Strzelcy tymczasem nie próżnowali...

---

## II.

### NA FRONCIE ROSYJSKIM.

Przyszła wojna, ta wymodlona w Polsce, ta, o której z góry można było powiedzieć, że rozpęta burzę europejską, po której, zgodnie z naszymi marzeniami, wzejść miało słońce naszej niepodległości i innych narodów uciemionych.

Niedługo przed wybuchem wojny zostałem odkomenderowany z 100 p. p. do sztabu 12 dywizji piechoty w Krakowie. Na stanowisku tem pozostałem aż do października 1915 roku; tem lepszą miałem sposobność, z szerszego punktu widzenia, zapoznać się dokładnie z nastrojami wojennymi większej jednostki austriackiej, a tem ciekawszej, że złożonej z oddziałów prawie wyłącznie polskich, dowodzonych tylko przez oficerów przeróżnych narodowości, względnie przeróżnego pochodzenia Austriaków. Tem wyraźniej i prawdziwiej wypadnie porównanie tych austriackich nastrojów i ducha tego wojska z nastrojami i duchem, jaki panował w Legionach polskich.

Nastrój wojenny udzielał się powszechnie — w sposób nieomal radosny, a był to objaw nawet naturalny. Płakały tylko kobiety, żegnające swych mężów, kochanków, synów i braci, płakały dzieci, żegnające swych ojców; kto sam szedł na wojnę, ten cieszył się raczej. Cieszył się z wybuchu wojny także i żołnierz austriacki, zwłaszcza oficer zawodowy. Ale dlaczego? Czy rozumiał cel wojny, czy z następstw jej zdawał sobie sprawę? Nie, rwał się do wojny jako do rzemiosła, którego w czasie pokoju uczono go w sposób nader nudny, rwał się do przygód, do zdobyczy; wszak wojna niosła za sobą awanse, krzyże, medale, wyższe pobory i różne, różne inne nadzieje. O tem, że niesie ona także śmierć czy rany, pożogę i spustoszenie, o tem myśleli dopiero na polu bitwy, ale ci tylko, których los pchnął na front, bo ci z etapów i ci z „Hinterlandu“ chyba do końca wojny o tem nie myśleli. A jakież hasła wojny niosła przed sobą armja austriacka? Walczyła za wolność? Za czyją? Nie! „Zemsta za mord w Sarajewie!“ — to było hasło jedyne. Innego nie głoszono, nie było też żadnego uświadomienia żołnierza o celu wojny. Na południu przeciwko Serbji i później przeciwko Włochom, a także w końcu przeciwko Rumunji, istniała jakaś rozmyślnie wzbudzana w żołnierzu nienawiść, a może tylko niechęć ku nieprzyjacielowi, tu na północy zupełnie jej nie było, nawet u oficera. Ja, który wybierałem się na wojnę na Moskala, w żaden sposób nie mogłem zro-

zumić obojętności oficera austriackiego w stosunku do nieprzyjaciela rosyjskiego. W czasie mobilizacji przeciwserbskiej w roku 1912/13, będąc w Bośni, obserwowałem zgoła inny zapał; tam grała doskonale swą rolę propaganda zemsty za krew, wyczołżoną Austrjakom przez powstańców w czasie okupacji 1878 roku. Raczej wewnątrz państwa, do Czechów, krzewiono w szeregach austriackich niechęć czy nienawiść, o nienawiści do Rosjan nigdy w wojsku austriackim nie słyszałem. Ten nieprzyjaciel pozostał dla żołnierza austriackiego pomimo wybuchu wojny tylko nieprzyjacielem z pola ćwiczeń, jakby tą tarczą polową, do której strzelało się nabojami ślepymi, bez najmniejszego wzruszenia serca, zupełnie obojętnie. Jakgdyby jeszcze od rozbiorów Polski istniało jakieś ciche porozumienie między zaborcami. Raczej Prusakom pamiętał oficer austriacki rok 1866 i zazdrościł Niemcom przewagi militarnej, Rosji, powtarzam, bynajmniej nie nienawdził. Tak więc jedynie dla Polaka w wojsku austriackim Rosjanin był „Moskalem“, dla Niemca był on dobrodusznym żołdatem, dla Czecha nawet przyjacielem. Spotykałem się wręcz z niechęcią u oficerów austriackich przy przekraczaniu granicy byłej Galicji, z niezadowoleniem z powodu obalania przez żołnierzy Polaków słupów granicznych.

— Po co my tam idziemy? Przecież ta ziemia i tak nie będzie nigdy nasza. Lepiej rozprawić się porządnie z Serbami i nie krwawić tutaj dlatego tyl-

ko, że Niemcy całe swe siły zwróciły przeciwko Francji.

To były słowa, które mi doskonale utkwiły w pamięci, słowa jednego ze starszych austriackich oficerów, podpułkownika, niemieckiej narodowości, wypowiedziane po zwycięskiej nawet dla Austriaków bitwie pod Kraśnikiem.

Było też z drugiej strony w szeregach austriackich i niemało strachu przed wielką i potężną Rosją, przed jej kozakami i ich pikami, ale o tym strachu — potem...

Dopiero Gorlice i dalsze powodzenia 1915 roku zmieniły cośkolwiek sąd austriackich wojskowych o wojnie z Rosją i przydały trochę podnioslejszego nastroju żołnierskiego szeregom austriackim.

Gdzież więc wspólnota nastrojów i ducha tak opisanego wojska z nastrojami i duchem Legionistów polskich, mających swój wyraźny cel wojny: wolność, całość i niepodległość Ojczyzny?

Tyle ogólnie o wojsku austriackim.



Powracam do sztabu i oddziałów 12 dywizji austriackiej. Jak wspomniałem, była to dywizja krakowska, która z Legionami, czy to z brygadą Piłsudskiego czy innemi, najwięcej mogła była mieć

wspólnoty. O jej więc stosunku i podobieństwie do polskich strzelców napisać mi wypada nieco obszerniej.

Dowództwo 12 dywizji krakowskiej, w swym składzie pokojowym, było czysto austriackie; dowódca, generał dywizji, ekscelencja Kestranek, nazwisko miał tylko czeskie, podawał się natomiast za urodzonego Niemca (on to po przewrocie 1918 roku zamierzał bronić Pragi czeskiej przed Czechami), szef i oficerowie sztabu byli również Niemcami, jedynym Polakiem byłem ja, czasowo zresztą tylko przydzielony. Mobilizacja dopiero dała kilku oficerów Polaków, przeważnie z rezerwy, a przyprowadził ich ze sobą generał Rozwadowski, dowódca 12 brygady artylerji. Przez dowództwa brygad i przez oddziały 12 dywizji przesunęło się jednak w czasie wojny całe mnóstwo oficerów Polaków, zarówno starszych zawodowych, jak i młodszych z rezerwy; wielu z nich służy dzisiaj w wojsku polskim, jakkolwiek nie wszystkich z tych wielu uważało się przed listopadem 1918 roku za Polaków. Żołnierze w oddziałach byli naogół Polakami (pułki piechoty 20-szy nowo-sądecki, 56-szy wadowicki, 57-my tarnowski, 100-ny cieszyński), jeden tylko 3-ci berneński był niepolski, ale czesko-morawski, natomiast w artylerji — Polacy, saperzy — Polacy, ułani — Polacy. Aż serce krajało się z bólu, że tyle polskiej wiary ulegać musiało rozkazom wrogiego zaborcy, szło na bój z Moskwą za obcą sprawę, pod sztanda-

rami obcemi, pod dowództwem naogół niemrawem i niedołężnem. Pomimo tak olbrzymią większość polską dywizja była jednak wojskiem austriackiem. Nie ta polska większość decydowała tu o nastroju i duchu dywizji, lecz garść Niemców i innych Austriaków, narzucająca tym, którzy większości tej jedynym mogli być wyrazem, a więc starszym oficerom zawodowym Polakom, jakiś lęk czy wstyd przyznawania się do orientacji niepodległościowej i czyniąca z nich po większej części bezbarwne kreatury, zabiegające jedynie o pochwały i odznaczenia, o dobry roczny „opis kwalifikacyjny” i o awans. O wyjątkach opowiem.

Dużo mówiono później w 12 dywizji austriackiej o polskich Legjonach, o Piłsudskim i o N. K. N-nie. Mówiono różnie; z ust starszych oficerów, nie tylko jednak Niemców, ale i Polaków, nie usłyszałem nigdy ani słowa pochwały czynu legjonowego, jako niepodległościowego, słyszałem tylko w kółko: z Austrią, przy Austrii, pod berłem Habsburgów i t. p. O Piłsudskim powtarzano przeważnie za dewotkami krakowskimi, że to niedowiarek, socjalista, prowadzi rozagitowaną politycznie młodzież na zgubę, nie uznawano jego wiedzy i zdolności wojskowych, pracę jego nazywano dyletantyzmem; raczej z ust Niemca austriackiego można było posłyszeć zapytanie, czy ów Piłsudski istotnie jest takim dzielnym dowódcą, jak to o nim słyszy się od... Prusaków... A młodszy oficerowie zawodowi? Typowy zawodowy oficer

austrjacki, wyniesiony sztucznie do pierwszej kasty w państwie (na którego, broń Boże, nie wolno było popatrzeć krzywem okiem w restauracji, bo spojrzenie takie pociągało za sobą wyzwanie i często nawet krwawy pojedynek), był tak dalece zarozumiały z tej odrobiny wiedzy wojskowej, którą wyniósł ze szkoły kadeckiej, owego zbiorowiska, przeważnie wyrzuconych ze szkół średnich, łobuzów, że nie mógł zrozumieć, by jakiś tam strzelec mógł sam się wojskowego abecadła nauczyć i dlatego za nic nie chciał uznać w oficerze legionowym równego sobie. Każdy z tych oficerów austriackich, gdyby zechciano przyjmując go do legionów, wyobrażał sobie, że powinienby tam zostać conajmniej brygadjerem, jeżeli nie naczelnym wodzem legionów. Więc nie śpieszyli się bynajmniej zawodowi oficerowie austriacy do Legionów polskich. Dopiero utworzenie N. K. N.-u i austriackiej Komendy Legionów z von Baczyńskim i Küttnerem pociągnęło za sobą chęć pewnych austriackich fachowców pochodzenia polskiego, albo znających cośkolwiek język polski, przejścia na wygodne przeważnie i bezpieczne stanowiska w Legionach.

Nie będę opisywał żalu, który mnie gnębić począł od wybuchu wojny tak okropnie, że na tę wojnę, która miała przynieść Polsce niepodległość, musiałem pójść w takich właśnie szeregach austriackich. Cóż miałem począć? O dezercji do Legionów zawodowego oficera austriackiego mowy być prze-

cież nie mogło, wszędzieby mnie znalezione, prosić było rzeczą beznadziejną, bo ani nie miałem poparcia, ani nie dawałem zbytnej gwarancji austriackiej lojalności. Pragnienie przedostania się do Legionów pozostawiłem więc czasowi i pocieszałem się tem, że jednego i tego samego będziemy bić wroga, a jeżeli nie w czasie wojny, to po zwycięstwie zjedziemy się jednak niezawodnie. Iluż to zresztą oficerów Polaków z rezerwy austriackiej pragnęło na równi ze mną przedostać się do Legionów (tych walczących, nie tyłowych) bezskutecznie!



Dywizja koncentrowała się w rejonie Tarnowa. Szef sztabu dywizji wysłał mnie tam zaraz pierwszego czy drugiego dnia mobilizacji do pomocy oficerowi, regulującemu zakwaterowanie. Nie miałem nawet czasu pożegnać się z Krakowem, mojem miastem rodzinnem, ani zdać sobie sprawy, że wychozę na wojnę prawdziwą o której, coprawda przypuszczano powszechnie, że do Bożego Narodzenia się skończy, ale z której, tak czy inaczej, można było jednak nie powrócić.

Kraków był już pełen ruchu legionowego. Strzeleckie mundury, chłopcy niedorośli, dźwigający ciężkie karabiny, polskie piosenki żołnierskie, w oknach biało-czerwone chorągwie... Tyle pol-

skości było podówczas w tym starym polskim grodzie, że kto szczerzy Polak, a odziany był, czy dobrowolnie, czy z musu, w mundur austriacki, przynajmniej w tych dniach nie mógł nie zazdrościć strzelcom polskim — maciejówki i białego na niej orła, chyba, że był on do niej uprzedzony „politycznie“, chyba, że ultralojalność austriacka przygłuszyła w nim polskie serce, chyba, że nie miał wiary w niepodległość Polski. Oj, niewsmak było mnie, urodzonemu w Krakowie i wychowanemu po polsku, wychodzić na wojnę w mundurze austriackim!

Do Tarnowa wiozł mnie ochotnik, przybyły do dywizji z własnym samochodem, p. Ż., Polak, obywatel ziemski. Szalonej jeździe p. Ż. powierzyłem mój żal i moją zazdrość o maciejówkę legjonową...

Pędziliśmy z szybkością 100 km. na godzinę, gdyż memu kierowcy, opanowanemu nie mniej ode mnie zapałem wojennym, wydało się, że misja moja wymaga szybkości jaknajwiększej. A na szosie spotykaliśmy już barykady, wozy ustawiane w poprzek drogi, rogiatki opuszczone; to gminy otrzymały polecenie zatrzymywania samochodów w poszukiwaniu szpiegów, czy też owego złota, o którym różne krążyły opowieści. Były to pierwsze objawy strachu austriackiego, o którym, jak obiecałem, jeszcze szerzej opowiem. Z szybkością 100 km. na godzinę przejechaliśmy coś 5 psów, 3 kury i 2 kaczkę i w dobrą godzinę stanęliśmy w Tarnowie. Tak śpieszyło się nam, Polakom, na tę wojnę z Moskalami.

Ale naprawdę to śpieszyło się tylko nam. Dowództwo austriackie pozostawiło sobie całe dwa tygodnie czasu na koncentrację i marsze ku granicy rosyjskiej, a w międzyczasie triumfowało w Tarnowie z powodu zdobyczy jednej piki kozackiej i dwóch szabel, zabranych rosyjskiej straży pogranicznej przez „financów” po przeprawie przez Wisłę pod Szczucinem, w boju z „przeważającymi” siłami nieprzyjaciela. Z tej okazji i innych zdążono też w ciągu tych dwóch tygodni w Tarnowie i okolicy wypić mnóstwo wódki, rozochocić się i „skoncentrować się” do ostatka tak, że w końcu ruszono w pole z niemałym animuszem. Prawda, że za to zaraz na drugi czy trzeci dzień marszu zabrakło dywizji chleba, bo intendentura poprostu zapomniała, ale wielkiego z tej przyczyny zmartwienia nie było, gdyż rychło, przeprawiwszy się przez San w pobliżu jego ujścia do Wisły, znaleźliśmy się w Feindeslandzie, gdzie można już było rekwirować do woli.



Dzień 21 sierpnia 1914 roku, pod Annopolem i Księżomieszem, był dla 12 dywizji austriackiej dniem pierwszej bitwy, dla mnie tem więcej pamiętnym, że w bitwie tej spotkali się austriaccy górale wadowiccy i nowosądeccy z rosyjską częstochowską brygadą strzelców, złożoną prawie wyłącznie z Po-

laków. A więc była to bitwa Polaków z Polakami i dlatego symboliczna, że pierwsza w tej wojnie o niepodległość polską i dlatego jeszcze, że stoczoną została po niebywałym zaćmieniu słońca, które nastąpiło bezpośrednio po pierwszych strzałach armatnich, wymienionych przez strażę przednie. Jakgdyby zasłoniło się niebo i słońce zasłoniło się żałobną, czarną chmurą, by nie patrzeć na ten bój bratobójczy, toczony z brawurą, godną najzaciętszych wrogów. Chyba nigdy tak krwawo, jak po tej bitwie, nie zaszło słońce za polskimi strzechami Rachowa, nazwanego na mapach po rosyjsku Annapolem. Bój był zwycięski dla Austriaków; rozentuzjasmowani wadowiczanie na ramionach obnosili po poboju dowódcę 23 brygady, generała Zaleskiego, późniejszego kandydata na komendanta Legionów.

A we dworze rachowskim (będącym w posiadaniu Żyda), jęczały setki rannych strzelców częstochowskich, opatrywanych przez austriackich lekarzy — Polaków, a na dziedzińcu dworskim grzało się przy ogniskach dwustu jeńców, strzelców częstochowskich, darzonych chlebem i kawą przez austriackich ułanów, również Polaków. Dziwnie zgodne przy tych ogniskach prowadzono rozmowy, ale naogół jedna strona nie mogła przekonać drugiej, że to w jej szeregach należy walczyć o polską niepodległość. Słuszność bowiem leżała pośrodku, w Legionach, we własnej polskiej sile zbrojnej!



Maszerując równoległe do szosy Kraśnik — Lublin, minęliśmy Urzędów, bez walki i bez kontaktu z nieprzyjacielem. Sztab 12 dywizji jechał konno, gdyż samochody ugrzęzły jeszcze nad Sanem w piaskach, jechał za silną strażą przednią, spokojny o swoje bezpieczeństwo. Ekszelencja z szefem sztabu jechał na przedzie, w najlepszym humorze, rozpowiadając o depeszach swych znajomych i krewniaków, gratulujących mu wieńców wawrzynowych z powodu zwycięstwa pod Annopolem.

Właśnie wyjechaliśmy na jakiś pagórek, gdy pierwsze pary jeźdźców zawróciły galopem i skierowały się ku tyłowi, wywołując zamęt wśród całego dowództwa.

Szef sztabu rzucił się ku dowódcy kawaleryjskiego plutonu sztabowego i rozkazał mu natychmiast szarżować nieprzyjaciela, który podobno pojawił się za pagórkiem.

Przystanąłem na chwilę na owym pagórku i istotnie w odległości nie większej, jak 150 kroków, dojrzałem — nieprzyjaciela. Tuż przy drodze, pomiędzy drzewami, siedziało dwóch żołnierzy rosyjskich — z nałożonemi na broń bagnetami. Ale siedzieli tylko, nie zdradzając najmniejszych zamiarów ofenzywnych. Przeciwnie, na mój widok, na widok pierwszego jeźdźca, który zatrzymał się na pagórku, jeden z nich nałożył na bagnet chustkę, o której coprawda nie można było powiedzieć, że jest białą, ale która w każdym razie oznaczała pokojowe

usposobienie owego nieprzyjaciela (co najmniej — rozejm, względnie zawieszenie broni).

Zanim pluton kawaleryjski zdążył ugrupować się do szarży, byłem już przy tych dwóch groźnych Moskalach i rozmawiałem z nimi po polsku. Byli to dwaj żydkowie polscy z tej samej częstochowskiej brygady, z którą walczyliśmy pod Annopolem. Zdecydowali oni prosto zakończyć wojnę — wcześniej, niż to było zamiarem Petersburga i Wiednia z Berlinem...

Pomimo takiego pomyślnego i bezkrawawego wyniku tego bezpośredniego spotkania sztabu 12 dywizji z nieprzyjacielem, ekscelencja rozkazał szefowi sztabu powiększyć odtąd troskę o bezpieczeństwo jego osoby, której powierzone było życie dwudziestu tysięcy ludzi. Zdaniem ekscelencji tak cenne życie nie powinno było ani przez chwilę być narażone na niebezpieczeństwo...



Ekscelencja Kestranek cieszył się z czasu pokoju opinią nad wyraz tęgiego wodza i dzielnego żołnierza; specjalnością jego była artylerja. Nie tylko rozmowny, ale i wymowny, wymownemi słowy, którym naturalnie żaden z podkomendnych nigdy nie miał odwagi przeczyć, umiał ekscelencja w czasie pokoju — jako kierownik gier wojennych — wygry-

wać nawet najtrudniejsze bitwy — na mapie. Na wojnie przybył niestety ten niesympatyczny czynnik, jakim jest żywy nieprzyjaciel i ta okoliczność osłabiła znacznie szanse wygrywania w prawdziwej grze wojennej, już nie na mapie, lecz w terenie, po którym nieprzyjaciel siał kule i pociski artyleryjskie. Te pierwsze nie mogły przeszkadzać ekscelencji, bo zasłaniał go przed nimi daleko wysunięty parawan oddziałów piechoty (ugrupowanie dowództwa w głąb), ale te drugie, niesforne i niedyskretne pociski artyleryjskie, umiały zagłębiać nawet głęboko za parawan. Wódz o t. zw. gołębiem sercu, nie chcąc brać wyłącznie na swoje sumienie nieszczęść, jakie mogło powodować wprowadzenie do gry wojennej owego nowego czynnika, żywego nieprzyjaciela, postanowił zaraz na wstępie działań wojennych podzielić odpowiedzialność dowodzenia i w tej funkcji przyjął na siebie ciężar podpisywania rozkazów, a decyzje i ich opracowywanie pozostawił całkowicie swemu zaufanemu szefowi sztabu. Ponieważ rozkazy te robiono przeważnie już późno w nocy, a ekscelencja, uznając przysłowie „Kto wcześniej idzie spać i późno wstaje, temu Pan Bóg daje“, miał zwyczaj wczesnego udawania się na spoczynek i sen miał tak twardy, że nawet salwy ciężkiej artylerji nie były zdolne zagłuszyć jego chrapania, a wstawał równie ciężko, jak i późno, więc dla dobra służby, żeby podpisywaniem rozkazów nie komplikować

zbytńio pracy swojego szefa sztabu, który, pomimo intensywnego używania koniaku, już po miesiącu był bliskim wyczerpania i zachorowania na modną czerwonkę (w końcu też zachorował i odszedł — z awansem), przeto dał ekscelencja z góry większy zapas swoich pięknych podpisów i oszczędził w ten sposób sztabowi kłopotu i trudu budzenia po nocy zaspnego wodza.

Z dziedziny dowodzenia zachował jednak ekscelencja w całości dla siebie troskę o artylerję, naturalnie nie o własną, bo ta nie mogła przecież przynieść wodzowi nieszczęścia, chyba, że tylko przez pomyłkę, strzeliwszy za krótko, zabłąkała się od czasu do czasu we własną tyralję, sztabu własnej dywizji jednak trafić nie mogła, nie posiadała bowiem właściwości strzelania także wstecz, drugim końcem armaty; chodziło o artylerję nieprzyjacielską i o jej promień portée. Dzień cały był ekscelencja zatrudniony wyszukiwaniem stanowisk nieprzyjacielskich baterij, stwierdzaniem ich kalibru, oraz na wiele biją kilometrów i wrysowywaniem położenia artylerji nieprzyjacielskiej na mapę. Dowódca brygady artylerji musiał dlatego stale przebywać w bezpośredniem pobliżu ekscelencji i po każdym strzale artylerji nieprzyjacielskiej dawać szczegółowe wyjaśnienia; mapa ekscelencji była zawsze tak pomalowana armatami w czerwonym kolorze, że na kolor niebieski, a więc na oznaczenie własnego położenia, nie było już nigdy miejsca; nie było też i cza-

su; troska o własne oddziały była zresztą zbyt czarna, gdyż te nie mogły stać się dla własnego dowództwa niebezpiecznymi, a o bezpieczeństwo dowództwa jedynie chodziło. Z cyrklem w ręku zakreślał sobie ekscelencja na mapie krańcowe punkta portée baterij nieprzyjacielskich i za żadną cenę nie dawał się nabierać na przekraczanie tych punktów; o ile zaś szef sztabu uważał to za konieczne, dzieliło się dowództwo dywizji w ten sposób, że szef sztabu z częścią operacyjną szedł naprzód, zaś ekscelencja z częścią „prowiantową“ pozostawał na „właściwym“ stanowisku. Miejsce na nocną kwaterę i złożenie po takiej uciążliwej całodzienniej pracy strudzonej głowy do snu wybierał ekscelencja zawsze osobiście — w takiej odległości za parawanem oddziałów, aby żaden pocisk artylerji nieprzyjacielskiej nie mógł przeszkodzić wypoczynkowi wodza.

Ekscelencja miał jeszcze inne troski: o swój wóz, naładowany zdobyczą wojenną, to znaczy obrazami, dywanami, antykami i innymi przedmiotami, ocalonymi po polskich dworach przed grabieżą rosyjskich barbarzyńców, o parasol i kalosze, wreszcie nie na ostatniem miejscu o zaprowiantowanie — nie tyle oddziałów, ile samego dowódcy dywizji.

Do charakterystyki Kestranka należy jeszcze dodać, że był niesłychanie odważny w stosunku do ludności cywilnej Feindeslandu i z całą bezwzględnością polecał tępić wszelkie objawy szpiegostwa na rzecz nieprzyjaciela, a więc sygnalizowa-

nie do nieprzyjaciela przez puszczanie w ruch wiatraków, bicie w dzwony kościelne, zapalanie świateł przy niezastłoniętych oknach i tym podobne. W walce, którą ekscelencja prowadził z wiatrakami w Lubelszczyźnie w sposób nad wyraz energiczny, wyzionęło ducha na gałęziach drzew sporo chłopstwa polskiego, Bogu ducha winnego, zarówno mężczyzn, jak i kobiet pobliskich wsi, które nieświadomie wychodziły na pola po swoje ziemniaki, do swego bydła.

W walce z dzwonami powieszono z rozkazu ekscelencji nawet osobę duchowną, księdza wikarego z Chodla pod Borzechowem, którego nazwiska nie pamiętam.



A więc było to w okolicy Borzechowa, dokąd 12 dywizja austriacka, działająca na lewym skrzydle 1-ej armji, generała Dankla, dotarła w marszu na Lublin w pierwszych dniach września 1914 roku. Sztab dywizji stanął kwaterą w wiosce, której nazwy nie pamiętam, ale znajdującej się podług mapy ekscelencji poza granicą działania nieprzyjacielskiej artylerji i urządził się jak najwygodniej w budynku szkolnym.

Względnie spokojnie minęło na tym postoju dni kilka, nieprzyjaciel nie zdradzał jeszcze zamiarów

przeciwnatarcia, oddziały austriackie, po nieudanej próbie złamania oporu rosyjskiego, okopały się, oczekując dalszych rozkazów.

Przed sztabem dywizji w owej wiosce stało ustawicznie kilkanaście koni wierzchowych, osiodłanych, należących bądź do kawaleryjskiego plutonu sztabowego, bądź przysłanych z łącznikami przez oddziały i innych; między nimi stał w chwili, którą pragnę opisać, także i mój koń, gdyż za chwilę miałem jechać z rozkazami do brygad.

Wkrótce po obiedzie, gdy ekscelencja odpoczywał w swoim pokoju, a sztab pracował nad wysłaniem rozkazów, najzupełniej niespodziewanie padła w oddaleniu około 100 metrów od budynku szkolnego, mieszczącego w sobie dowództwo dywizji, serja granatów rosyjskich.

Nie upłynęło jeszcze pięciu minut, wyrzałem przed dom, — koni nie było... Spojrzałem za dom, — cwałem pędziła w kierunku przeciwnym niż do nieprzyjaciela grupa jeźdźców, na czele ekscelencja — na moim koniu, za nim pierwszy oficer sztabu, odważny w słowach nie mniej od swego wodza, za nim jeszcze kilku oficerów i ordynansów. Jeszcze chwila, a cały budynek szkolny opustoszał...

Sam jeden z pośród oficerów, przy pomocy kilku mniej tchórzliwych podoficerów i żandarmów, musiałem wykonać pozostawiony mi przez szefa sztabu rozkaz dopilnowania spakowania dowództwa, porzuconych aktów operacyjnych i map. Pie-

chołą musiałem potem gonić dowództwo, które „przegrupowało” się tymczasem w głąb o całe 3 km., w bezpieczniejsze miejsce.

Okazało się później, że to nie mapa ekscelencji zawiodła, lecz że nieprzyjaciół, dowiedziawszy się o miejscu postoju dowództwa dywizji, rozmyślnie podciągnął jedną baterję bliżej frontu, aby nastraszyć ekscelencję. Strach minął względnie szybko, bo kwatera następna okazała się najzupełniej bezpieczna, ale bez nieszczęścia jednak się nie obeszło; parasol ekscelencji pozostał w poprzedniej kwarterze...

W oddziałach opowiadano sobie długo o owem „przegrupowaniu” się dowództwa dywizji z niemałą wesołością.

Poza tym wypadkiem obliczenia odległości dowództwa 12 dywizji od stanowisk nieprzyjacielskiej artylerji nigdy ekscelencji K. nie zawiodły.



Odwrotu z pod Lublina dokonała 12 dywizja mniej więcej tą samą drogą, którą przysła. Żołnierze szemrali, nie rozumieli dlaczego się cofają, dotychczas bowiem klęski nie zaznali. Bili się dzielnie pod Annopolem i Księżomieszem, twardo trzymali się pod Borzechowem, obecnie nie mieli styczności z nieprzyjacielem. Dywizja, jako skrzydłowa,

podporządkowana bezpośrednio dowództwu 1 armji, posiadała pod Borzechowem aż pięć brygad, siłę wielką, żołnierza dobrego i jeszcze niezmućzonego, który mógł i chciał się bić. Winę przypisywano to grupie Kummera, złożonej z pospolitego ruszenia, ludzi starszych i źle wyekwipowanych, która wprowadzona została dla przedłużenia lewego skrzydła 1 armji pomiędzy 12 dywizję a Wisłę już w momencie wycofania się armji, to znowu armji Auffenberga, że nie wytrzymała pod Lwowem.

Weszliśmy z powrotem w granice byłej Galicji ze zwieszonemi głowami. Przekraczaliśmy San pod Turbją w okolicy Rozwadowa. Tutaj dopiero przy przeprawie dopadli nas Moskale i zmusili do bitwy, która przyniosła nam poważne straty i jeszcze więcej wpłynęła na rozgoryczenie żołnierzy do dowództwa....

Więc tymczasem nic z powstania w Kongresówce i połączenia jej z Galicją — mówili z przekąsem Austriacy, więc tymczasem nic z czynu legjonowego — myśleli ze smutkiem Polacy...



Z widet Sanu i Wisły wkrótce jednak przeszliśmy ponownie granicę, tym razem przekraczając Wisłę pod Sandomierzem, by następnie wzdłuż zachodniego jej brzegu posunąć się pod Dęblin. Wesz-

liśmy na ziemię kielecką, po której już stąpała stopa legjonowa. Ożyła we mnie nadzieja spotkania się z polskimi strzelcami — ramię przy ramieniu.

Miałem rozkaz przygotowania kwatery dla dowództwa 12 dywizji w Rożkach pod Sandomierzem. Naturalnie zjechałem wprost przed dwór, gdyż ekscelencja przyzwyczajony był nocować tylko po dworach. Już zbliżał się wieczór. Typowy polski dom, bielony, na tle zieleni ogrodu przecudownie odbijał szybami okien miedź zachodzącego słońca. Zdaleka pośłyszałem gwar i wesołość we dworze, melodię jakiejś polskiej piosenki żołnierskiej...

Wszedłem na ganek i przez okna dojrzałem czerwone rabaty polskich ułanów. Wybiegło kilku Beliniaków.

— Was wünschen Sie? — zapytał jeden z nich z nieukrywaną niechęcią.

Słowa niemieckie przypomniały mi w tej chwili, że ubrany jestem w mundur austriacki i szybko połknąłem gorycz, jaka mnie chwyciła za gardło. Ale zanim zdążyłem odpowiedzią dać poznać, że nie jestem Niemcem, wybiegł na ganek ułan o twarzy dobrze mi znanej, choć dawno niewidzianej i serdecznie wyciągnął ku mnie swą dłoń. Był to ułan, czy oficer już wówczas, Felsztyński, którego poznałem był w roku 1905 w wycieczce młodzieży gimnazjów galicyjskich do Rzymu.

Od niego dowiedziałem się, że stoi w tym dworze na odpoczynku jakiś oddział ułanów Beliny, że

obchodzą tu jakieś imieniny, czy podobną uroczystość. Przez otwarte drzwi dojrzałem kilka postaci niewieścich; dziewczęta rozochocone, otoczone polskimi ułanami, nie spojrzały nawet na Austriaka. Tańczono, bawiono się wesoło, z czupryn ułańskich już się kurzyło....

Pozostałem na ganku, nie chciałem psuć nastroju. Pogawędziłem tylko z kolegą Felsztyńskim o Rzymie i o Krakowie i o tem, jak mi jest źle obecnie w mundurze austriackim, jak gorąco pragnąłbym zamienić go dziś jeszcze na polskie czako ułańskie i rabaty... i pojechałem, by gdzieindziej szukać kwatery dla mego ekscelencji i sztabu 12 dywizji austrackiej.

Tym razem ekscelencja K. nie spał we dworze, gdyż dwór w Rózkach, jak zameldowałem, był prawie doszczętnie zniszczony...



Jakoś po dwóch czy trzech dniach marszu stanęliśmy w okolicy Ostrowca, w majątku należącym do wysoce arystokratycznej rodziny polskiej. Dwór olbrzymi i dostatni, pałac urządzony z komfortem, niezliczona ilość pokojów gościnnych; nawet mnie, który wówczas byłem jeszcze tylko porucznikiem, a w dowództwie dywizji było sporo oficerów starszych, dostał się tym razem osobny pokój i pierwszy

raz od wybuchu wojny sposobność wykąpania się w wannie.

Właśnie pani domu przyjmowała w salonie dowództwo 12 dywizji austriackiej, z ekscelencją K. na czele i w sposób najuprzejmiejszy dawała wyraz swojej gościnności, kiedy przed gankiem zjawiło się kilku strzelców polskich, najwidoczniej oficerów, bo przy szablach, z wężykami czerwonymi na kołnierzach, a więc z brygady Piłsudskiego. Nie wyszedł nikt naprzeciw, sami musieli sobie poszukać wejścia do pałacu, obchodząc skrzydłem bocznym.

Już nie pamiętam, czy chodziło o kwaterę w tym pałacu, który mógł pomieścić chyba setkę gości, czy o posiłek tylko, to pamiętam jednak, że oficerowie legjonowi musieli sami się zaprosić do pokoju stołowego na szklankę herbaty, którą podano im dopiero na skutek energicznego domagania się obywatela, jak się później dowiedziałem, Kostka Biernackiego.

Dla gości austriackich znalazło się potem wszystko, czego było tylko potrzeba do obiadu i uśmiech sympatyczny gospodyni i słowa niezwyklej grzeczności dla ekscelencji, dłubiącego uparcie w nosie i uznania dla bohaterskiego wojska austriackiego. W duszy myślano naturalnie o wojsku rosyjskiem.



W pochodzie na Dęblin dotarliśmy do Jedlni, wioski położonej o 15 kilometrów na wschód od Radomia, bez boju.

Po drodze spotykaliśmy niejednokrotnie oddziały lub tabory brygady Piłsudskiego, a ja w nich niejednego kolegę lub dobrego znajomego z Krakowa. Dzięki tym znajomościom, z wozów prowiantowych dowództwa 12 dywizji austriackiej zginęła w tym czasie w sposób tajemniczy niejedna butelka wódki czy koniaku, niejedna paczka papierosów czy też czekolady. Na jednym z postojów zginęły nawet dwa aparaty telefoniczne z dywizyjnego oddziału telefonicznego, ale to już nie dzięki znajomości, a po prostu dlatego, że były „nieodzowne” potrzebne dla utrzymania łączności z sąsiadem, z brygadą strzelców polskich.

Za Jedlnią biliśmy się już ramię przy ramieniu obok oddziałów legjonowych, 12 dywizja austriacka pod Zagożdżonem, Legjony pod Garbatką. Tu jednak, jakby dla zaprzeczenia istnieniu wspólnoty pomiędzy żołnierzem Polakiem ubranym w mundur austriacki a Polakiem odzianym w polski mundur strzelecki, po raz drugi stanęli przeciwko nam, 12 dywizji austriackiej, w mundurach rosyjskich — Polacy, podczas gdy strzelcy polscy walczyli z rdzeniem rosyjskim żołnierzem.

Tu zdarzył mi się wypadek, który na całe życie wrył się w mą pamięć głęboko i dręczący mnie niemal

przy każdym wojennem wspomnieniu. Wypowiadam się z niego, może mi będzie lżej...

Do sztabu dywizji zaszedł człowiek cywilny, chłop czy robotnik, Polak i w te słowa uzasadnił swoje przybycie:

— Ja Polak, wyście Polacy, więc wam powiem. Przychodzę z Iwangrodu, z twierdzy, przeszedłem wasze linje, przez las tu się dostałem niezatrzymany. Powiem wam, jakie tam Moskale mają okopy, betony i druty, abyście się na nich nie pokrzwawili.

Obok innych prac miałem w sztabie dywizji powierzony wywiad, przesłuchiwanie jeńców, zbiegów i szpiegów. Zabrałem chłopca do kwatery i z mapą w rękę wypytywać począłem o szczegóły jego wiadomości o nieprzyjacielu. Zaraz po pierwszych słowach przekonałem się, iż kłamie, że o Moskalach nic ciekawego nie donosi, natomiast odemnie stara się jaknajwięcej dowiedzieć o położeniu 12 dywizji austriackiej, a nawet już wie bardzo wiele, wie, które oddziały stoją w linji, a które w odwodzie, a ciągle powtarza: Ja Polak, wyście Polacy...

Po rozmowie puszczam go wolno, lecz w ślad za nim posyłam podoficera z kompanji sztabowej, Polaka, z rozkazem wysledzenia, dokąd ów chłop pójdzie, co zrobi. Poszedł do pobliskiej chaty; podoficer przykucnął pod oknem i słuca (była już ciemna noc). Szpieg. Już niema żadnych wątpliwości; opowiada kobiecie, prawdopodobnie swojej żonie, że

już teraz wie wszystko, że wraca do Iwangrodu, gdzie pewnie dostanie dobrą zapłatę.

Gniew porwał mnie nie do opisania. Na polskiej ziemi Polak zdradza Polaka przed Moskałem...

Zameldowałem szefowi sztabu, ten ekscelencji. Ekscelencja bąknął pod nosem:

— Powiesić — bez sądu!

Pierwsze polskie życie zaciężyło na mojem sumieniu...

Udałem się na plebanję w Jedlni, by sprowadzić dla szpiega księdza ze słowem pociechy przed śmiercią. Plebanja zasłana była rannymi z 56 wadowickiego pułku piechoty, Polakami. Serce biło we mnie jak młotem:

— Polacy — myślałem — Polak na polskiej ziemi was zdradza!

Znowu zapomniałem, że ubrany byłem w mundur austriacki i ja i ci zakrwawieni, jęczący żołnierze — wadowiczanie...

Wczesnym rankiem zaczęły przez Jedlnię przepływać cofające się oddziały 12 dywizji. Na drzewie przydrożnym wisiał trup szpiega. Posłałem podoficera do owej nieszczęsnej chaty, aby kazał co prędzej trupa zdjąć i pochować.

Oddaliłem się na chwilę. Sumienie kazało mi pójść do kościoła i zmówić za nieboszczyka „Wieczne

odpoczywanie". Gdy przestępował próg kościoła, wydało mi się, że organy kościelne grają hymn „Z dy-mem pożarów, z kurzem krwi bratniej...”



Przez Radom i Kielce cofała się 12 dywizja za Nidę. Pod Sobkowem odłączyłem się na chwilę od sztabu, aby odwiedzić wioskę, do której jeszcze dzieckiem będąc, przez szereg lat jeździłem z Krakowa na wakacje. Przejeżdżając przez Nidę, konno, znanym mi doskonale z lat dziecińczych brodem, puściłem wodze zarówno koniowi jak i moim wspomnieniom... Przed laty piętnastu ziemia ta wydawała mi się taką samą niewolną, jak i dzisiaj; przed laty piętnastu Moskał, dziś Austrjak. Kiedyż nareszcie Polak będzie na niej panem?

Zajechałem do dworu. Ogród poorany okopami, dom zniszczony, zabudowania gospodarskie popalone. Wojna uczyniła wioskę niepodobną do tej z przed lat piętnastu. Młody dziedzic pozostał na miejscu, pilnował reszty dobytku. Ledwie wszcząłem z nim rozmowę na temat wojny, począł biadać w sposób okropny zarówno na honwedów, jak i na legunów i wzdychać do powrotu przedwojennego spokoju, dobrobytu, stosunków uregulowanych...

A przez tę samą Nidę, obok 12 dywizji austriackiej, przechodził legion Piłsudskiego, kilka bataljoni-

ków, niby ziarnko piasku w morzu wojny europejskiej, szedł z pod Dęblina, niby tych dziesięciu z tysiąca walecznych.... A czy nie mogło ich być setki, setki tysięcy? Mogło, gdyby nie to przyzwyczajenie do „uregulowanych stosunków”.



Biła się jeszcze potem 12 dywizja austriacka w bezpośrednim sąsiedztwie Legjonów na północ od Krzywopłotów pod Ryczowem i Rodakami, po śladach legionowych u ujścia Wisły pod Starym Korczynem, aż wreszcie zakończyła rok 1914 przewozem kolejowym, przenosząc ją z granic byłej Kongresówki pod Gorlice, gdzie pozostała już w walce pozycyjnej do pamiętnego dnia 2 maja 1915 roku.

Tych kilka moich wspomnień z pierwszego okresu wojny, z roku 1914, nie mówi wszak wiele o Legjonach. Właśnie dlatego, wydaje mi się, mogą one służyć za dowód, jak to także w czasie wojny, pomimo częstego i bliskiego sąsiedztwa, pomimo korzystnych po temu okoliczności, nie powstała żadna, a żadna wspólnota duchowa, a do pewnego stopnia także i wojskowa, pomiędzy Legjonami a wojskiem austriackim, nawet jeżeli się weźmie pod uwagę jej polską, krakowską dywizję.



Rok 1915 nie przyniósł w tym względzie zmiany. Przeciwnie, losy wojny oddzieliły jeszcze więcej w tym i przyszłym roku 12 dywizję austriacką od Legionów polskich, bo nie tylko duchem, ale i przeszczenię.

Z utratą niemal całej Galicji poszły w niepamięć wszelkie kombinacje połączenia jej z Kongresówką, obietnice utworzenia jakiejś Polski pod berłem Habsburgów, zeszyły z ust austriackich z utratą nadziei na wzniesienie powstania polskiego w *Russisch-Polen*. Przestano wogóle mówić o Legionach; wszak przeobrażono je w *Landstur m* austriacki i wyobrażono sobie, że zgasły już doszczętnie wszelkie odrębne dążenia legionowe; biją się o Austrii całość i nic więcej — myślano.

Kiedy utrwał się front na Nidzie, Dunajcu i pod Gorlicami, opanowała armję austriacką jakaś dziwna obojętność dla dalszych losów wojny. Urządzono się wygodnie na umocnionych stanowiskach i wyczekiwano tylko — końca wojny. Upadek Przemyśla spotęgował jeszcze to pokojowe pragnienie, nie wywołał bynajmniej pragnienia odwetu. Wśród oficerów austriackich poczęły odzywać się głosy, że przecież ta część Galicji, która znalazła się pod okupacją rosyjską, jest nie polska, lecz rusińska i że jej utrata nie powinna dla Polaków austriackich być zbyt bolesną, że część Kongresówki, będąca pod okupacją niemiecką, byłaby zupełnie wystarczającą rekompensatą.

Dowództwo 12 dywizji stało długo w Szymbarku pod Gorlicami. Artylerja nieprzyjacielska tam nie sięgała, ekscelencja czuł się doskonale, powiększono więc znacznie troskę o zaprowiantowanie dowództwa...



Przyszedł dzień 2 maja 1915 roku i z nim przerwanie frontu rosyjskiego pod Gorlicami. Z VI korpusem austriackim generała von Arza weszła 12 dywizja w skład 11 armji niemieckiej, pod dowództwo generała von Mackensena i sąsiadowała z niemieckimi korpusami gwardji, generała von Plettenberga, i XLI rezerwowym generała von François.

Pisząc te wspomnienia, mam ciągle na myśli Legjony polskie i moją ku nim tęsknotę. Dlatego nie zatrzymuję się dłużej nad okresami wojny, które do dziedziny wspomnień legjonowych nie wnoszą nic nowego, ani ciekawego. Tu jednak zatrzymać się muszę pokrótce nad losami 12 dywizji austriackiej — niezależnie od losu Legjonów — dla zobrazowania nastroju tej dywizji w czasie, który szanse państw centralnych wygrania wojny posunął tak znacznie naprzód.

Bez przesady powiedzieć można, że bitwę pod Gorlicami 2-go maja 1915 roku wygrał polski żoł-

nierz krakowskiej 12 dywizji piechoty, lecz pod głównem dowództwem nie austriackiem, ale niemieckiem. Żołnierz to był jednak doskonały, dzielny i ochotny, wytrzymały na trud i głód, brakowało mu tylko miłości i zaufania do dowódców, nie rozumiejących jego polskiej duszy. Jakżesz inaczej było naogół w cieszyńskim 100 p. p., nad którym dłużej jeszcze później się zatrzymam, gdy jego dowództwo sprawował Polak, otwarcie do polskości się przyznający, pułkownik (dziś generał dywizji w stanie spoczynku) Latinik, inaczej niż w pułkach więcej nawet polskich — jak tarnowski 57, w którym dowódca Niemiec bił ludzi po twarzy, nowosądecki 20, którym dowodził Niemiec nieumiejący słowa po polsku. Teraz szło o pokaz, o ambicję żołnierza Polaka, kiedy zwrócone nań były oczy dowództwa obcego, chociaż pruskiego i tak wyborowych oddziałów, jak korpus gwardji i korpus generała von François. Śmiem twierdzić, że gdyby na czele tych i innych oddziałów austriackich, złożonych z Polaków, danem było na samym wstępie wojny czy wówczas stanąć polskiemu wodzowi i poprowadzić w bój o Polskę, żołnierze ci orężem prędzej i piękniejszą byliby wywalczyli Polsce niepodległość, aniżeli uczyniły to po tylu latach wojny pióra dyplomatów. Gorlice, zdobycie góry Pustki i dalsze bitwy w zwycięskim pochodzie armji Mackensena, to karta 12 dywizji austriackiej, którą o ileż chętniej czytałoby się w historii polskiej wojny o niepodległość, niż austriackiej o mocarstwowe stanowisko tego zleпка narodów.

Krok w krok, ramię przy ramieniu z gwardją pruską, odnosi 12 dywizja zwycięstwo po zwycięstwie, odbiera Jarosław, idzie na północ od Przemyśla i Lwowa i łamie wszędzie najzaciętszy opór nieprzyjaciela, ani przez chwilę nie pozostając w tyle za sąsiadami niemieckimi.

Pamiętam, pod Radymnem odwiedził dowództwo 12 dywizji dowódca 1 dywizji gwardji niemieckiej, książę Fryderyk Eitel, jeden z niedoszłych królów polskich. Chwalił, zachwycał się bitnością żołnierza 12 dywizji austriackiej. Ekscelencja K. przyjmował wszystkie słowa uznania księcia pod swoim osobistym adresem, a kiedy gdzieś pod koniec rozmowy raczył książę zapytać, skąd żołnierz 12 dywizji austriackiej się rekrutuje, odpowiedział, że są to „westgalizische und schlesisch-mährische Regimenter“, nie wspomniał ani słowem, że są to kandydaci na poddanych in spe Jego Królewskiej Mości...

Po odzyskaniu Lwowa i zdobyciu przez Niemców Warszawy, odżyła znowu nadzieja. Tak czy inaczej, jeden z zaborców był pokonany, można było już liczyć na realizację przysłowia: „Gdzie się dwóch pobije, tam trzeci korzysta“.



Po wzięciu Żółkwi zwróciła się 12 dywizja na północ i po walkach pomiędzy Bugiem a Wieprzem stanęła przed zadaniem zdobycia Brześcia Litewskiego, jeszcze ciągle w sąsiedztwie mając Niemców. Już zmieniły się jednak stosunki koleżeńskie pomiędzy żołnierzami 12 dywizji a żołnierzami niemieckimi. Niemcy wpadli bowiem na bardzo chytry a wygodny pomysł wyręczania się w trudnych zadaniach polskim *Kanonenfutter* i wysuwali wszędzie, gdzie tylko był do pokonania większy opór nieprzyjacielski, 12 dywizję austriacką, sami wstrzymując się od natarcia. Po wygranej pierwsi jednak byli zawsze przy zdobyczu i zanim żołnierz austriacki, zmęczony trudem boju, zdążył po cokolwiek wyciągnąć rękę, pooblepiali byli już zdobyte składy żywności, magazyny materiału wojennego i t. p. kartkami „*Kriegsbeute der 11 deutschen Armee*”. Tak też było i w Brześciu.



Przed fortami twierdzy stanęli górale nowosadecy, austriacki 20 p. p. i w upartem natarciu kładli rannych i trupa niemało. Brześć stał już cały w płomieniach i jak ogień huraganowy wstrząsały twierdzą wybuchy wysadzanych przez Rosjan urządzeń fortecznych. Nie było już wątpliwości, że dnia następnego Moskale Brześć opuszczą; o odcięciu za-

łogi od strony zachodniej, od której nacierała 12 dywizja, nie mogło być mowy. A jednak — stosownie do wyższego rozkazu niemieckiego — 20 p. p. nacierała i krwawiła... Niemcy z założonymi rękoma przypatrywali się temu widowisku od północy, do zdobycia Brześcia nie przyłożyli palca. I ekscelencja Kestranek przyglądał się zdaleka pożarowi Brześcia, podobnie jak Neron przyglądał się pożarowi Rzymu — z założonymi rękoma. A widok płonącego Brześcia, choć tak niesłychanie groźny, był wspaniały. Łuna pożaru świeciła w dalekim, dalekim promieniu, niby ogień bengalski przy fajewerku wybuchów fortecznych...

Wczesnym rankiem dnia następnego, kiedy 12 dywizja wkraczała triumfalnie do płonącego jeszcze miasta, Niemcy, którzy weszli byli do Brześcia bez strzału od północy, drogą krótszą, tuż po wycofaniu się Rosjan, gospodarzyli już na dobre przy zdobyczy. Przed ocalałymi od ognia składami obuwia, bielizny wojskowej, pojazdów i innymi, stały pruskie posterunki. Tego było góralom nowosądeckim już za wiele; rzucili się na rzecz najwięcej łakomą, na olbrzymią gorzelnię i usunęli „delikatnie” niemiecką wartość. Wódka stała się tym razem zdobyczą polską, a czego wypić nie zdołano, popłynęło ściekami ulic do Bugu...

Tak zakończyła 12 dywizja austriacka swój pochód zwycięski od Gorlic do Brześcia Litewskiego, mając już dość Niemców...

Po Lwów, po Bug ziemia polska wyzwolona była od najazdu moskiewskiego. Zaciężyła na niej stopa niemiecka i austriacka...



Po wzięciu Brześcia skierowano 12 dywizję znowu na południe, pospiesznymi marszami do Żółkwi, a stąd w rejon Buczacza, nad Strypę, dla ratowania zagrożonego tam chwilowo położenia. Zanim jednak dywizja stanęła na miejscu, położenie ustaliło się i nad Strypą zapanował względny spokój.

Dowództwo dywizji stanęło w Przewłocze i tylko na czas przejściowy (około 3 tygodni) przeniosło się było do Podzameczka pod Buczaczem, aby być bliżej nieustalonego jeszcze środka frontu swoich oddziałów. Piechota i saperzy pracowali pilnie nad umocnieniem pozycji nad Strypą, największy wysiłek poświęcono wysuniętemu punktowi oporu pod Pilawą, obsadzonemu przez wadowicki 56 p. p. Sztab dywizji dokładał wszelkich starań, aby pułkowi temu, który z Pilawy panował doskonale nad odcinkiem całej dywizji, dostarczyć jaknajwięcej materiału technicznego; najwięcej drutu kolczastego i desek, oraz narzędzi przydzielonych przez dowództwo VI korpusu, posyłano tam właśnie, do Pilawy. Wadowiczanie pracowali po nocach bez wytchnienia już od dni czternastu. W sztabie dywizji wszyscy telefoniści

i ordynansi wiedzieli już o tem, że Pilawa to oczko w głowie dywizji, o niej się tylko mówiło. Na froncie panował w dalszym ciągu względny spokój, artylerja austriacka oszczędzała amunicji, rosyjska prawie jej jeszcze nie uzupełniła po walkach odwrotowych. Ekscelencja K. spoczywał na laurach Gorlic, Jarosławia i Brześcia...

Było to w pierwszych dniach października. Wczesnym rankiem Moskale niespodziewanie zaatakowali Pilawę i wzięli szturmem nieskończony jeszcze wysunięty punkt oporu. Szef sztabu dywizji z częścią sztabu siadł natychmiast na koń i pogalopował do dowództwa 56 p. p. Ja zostałem przy telefonie; w meldunku sytuacyjnym zawiadomiłem o wypadku dowództwo VI korpusu.

Nagle przed szkołę w Podzameczku, gdzie mieściło się dowództwo 12 dywizji, zajeżdża samochód i wysiada z niego dowódca VI korpusu, generał von Arz, późniejszy szef sztabu generalnego. Riegnę wpierw na piętro, aby zameldować o tem ekscelencji. Ekscelencja śpi jeszcze. Budzę, melduję zaspanemu generałowi, że Pilawa wzięta, że generał Arz przyjechał...

— Pilawa wzięta! Chwała Bogu! — powiada ekscelencja i schyla się w poszukiwaniu czegoś pod łóżkiem.

Orientuję się, że ekscelencja pojęcia nie ma o tem, że to my od czternastu dni w Pilawie siedzieliśmy i że teraz wzięta jest nie przez nas, ale przez

Moskali i pośpiesznie wyjaśniam ekscelencji położenie. Ekscelencja powtarza tylko: Ja, ja, ja... i ubiera się zwolna, a tymczasem dowódca korpusu — czeka przed domem. Przypomniałem więc ekscelencji o tej drugiej części mojego meldunku. Wódz przychodzi zwolna do przytomności i śpieszniej zapina mundur...

Schodzimy na dół.

— A cóż to stało się z Pilawą — zapytuje z wielkim niezadowoleniem generał von Arz.

— Niestety, niestety nie udało się... — odpowiada generał K. i próbuje coś opowiedzieć o smutnym wypadku dzisiejszego ranka. Ale trudno mu przychodzi objaśnienie przełożonego o tem, co zaszło, bo wie zaledwie tyle, i to tylko dzięki mnie, że to Moskale, a nie Austriacy wzięli Pilawę...

Zniecierpliwiony generał von Arz proponuje, aby udać się na punkt obserwacyjny dowództwa dywizji i stamtąd rozejrzeć się w położeniu razem z ekscelencją K.

— A gdzie jest twój punkt obserwacyjny? — zapytuje dowódca korpusu.

— Ja chodzę zazwyczaj na ten najbliższy tu pagórek, — odpowiada mój wódz i wskazuje palcem na niewielkie wzniesienie, położone tuż za domkiem, a raczej za budką drewnianą, stojącą w rogu podwórza szkolnego, z którego to wzniesienia widać było zaledwie pozycję jednej z własnych baterji.

— Ale ja towarzyszyć ekscelencji nie mogę, bo od kilku dni czuję się niezdrów i nie opuszczam mieszkania.

— Skoro tak, to pozostań w łóżku i oszczędzaj się! — rzekł na pożegnanie generał von Arz i polecił mi zaprowadzić się na jakiś dalszy punkt, z którego możnaby zobaczyć Pilawę.

Poprowadziłem dostojnego przełożonego na właściwy punkt obserwacyjny dowództwa, bo taki jednak był, ale korzystał z niego tylko sztab, nigdy dowódca 12 dywizji...

W jakieś dwa tygodnie później nie było już ekscelencji K. w 12 dywizji, przeniesiono go w głąb kraju... Miejsce jego zajął generał dywizji Hinke, dowódca nieco zapobiegliwszy o los poruczonych mu oddziałów i odważniejszy, ale tak samo nie rozumiejący duszy polskiego żołnierza, z którym nigdy dotąd nie miał do czynienia. W dalszym ciągu ratował położenie w dowództwie 12 dywizji szef sztabu, oficer dużej energii i zdolności, podpułkownik Gerbert, Węgier z pochodzenia.



W Przewłocze, w sztabie dowódcy 12 dywizji, kończył się dla mnie rok 1915. Odchodziłem do oddziału macierzystego, cieszyńskiego 100 p. p., z radością. Miałem już dosyć takiego wodza, jakim był

ekscelencja K. i tego austriackiego dowodzenia polskim żołnierzem, rozporządzania bez serca, bez zrozumienia rzeczy, polską krwią na polskiej ziemi dla celów niepolskich.



Zima była sroga, śnieg leżał powyżej kolan, ale dzień był piękny, pogodny, kiedy, po pożegnaniu dowództwa 12 dywizji, meldowałem się u dowódcy 100 pułku piechoty, pułkownika Latinika, w Pyszkowcach pod Buczaczem. Pułkownik Latinik, jakkolwiek nie lubił takich, co to przychodzili do dowództwa pułku z tyłów, a nie z frontu, mnie przyjął bardzo serdecznie, po polsku; wiedział o mnie dobrze, że oddawna wrywałem się do oddziału i że tylko moi przełożeni, którzy mnie ciągle uważali za „niezbędnego“ w sztabie dywizji, winni byli mojemu długiemu odkomenderowaniu.

— Daję ci kompanję 15-tą, czysto polską. Jest tam coprawda podporucznik Jankowski, renegat, ale reszta oficerów i aspirantów sami Polacy; jest tam podporucznik Bulowski, były legionista, jest i drugi legun, aspirant Rządek, jest kadet Świerczek i t. d. Będziesz się tam czuł dobrze. Kompanja stoi w odwodzie bataljonu, więc na początek będziesz miał spokój i czas zapoznać się z jej składem i jej wartością. Witam cię w pułku, jak ojciec syna w rodzinie i ży-

czę szczęścia i powodzenia w tej walce — bądź co bądź także o naszą polską sprawę.

Były to słowa polskiego dowódcy, do polskiego żołnierza.

Szedłem do tej 15 kompanji z zapałem od początku wojny nieodczuwanym, budziło go pragnienie zbliżenia się bezpośredniego do żołnierza z pod Gorlic, wytłumaczenia mu po polsku, po swojemu, że bije się na polskiej ziemi nie tyle o austriacką sprawę, co o polską. Najwięcej byłem ciekaw poznania owego podporucznika Bulowskiego, byłego legionisty, pilno mi było pogadać z nim o tem, co słyhać w legionach i naradzić się, jakby jednak przy boskiej pomocy, przedostać się jaknajprędzej z tego niewyraźnego wojska austriackiego do polskich legionów.

Przywitawszy kompanję i zapoznawszy się z sąsiadami oraz z położeniem nieprzyjaciela, wybrałem sobie za mieszkanie kąt w ziemiance podporucznika Bulowskiego; we dwóch Polaków będzie nam weselej, pomyślałem.

Właśnie po dniu choć mroźnym, ale pogodnym przepięknie zachodziło słońce i ostatnie promienie rzucało w maleńkie okienko naszej ziemianki, jakby na otuchę, jakby na pociechę, gdy rozpoczęliśmy naszą pierwszą gawędę o Legionach, o Polsce... Świt szarzał, kiedy położyliśmy się spać z głowami ciężkimi od myśli o Legionach... Otworzyła się przedemną dusza młoda i pełna życia, dusza tem ciekawsza, że ów legun nieszczególnie mówił po polsku, wyrósł bowiem

w środowisku nawskróś niemieckiem hakatystycznego Bielska śląskiego; jednak od dziecka czuł się i był Polakiem. Wyszedł na wojnę z Legionem śląskim, ale jako „kadet-aspirant” austriacki (taki stopień miał z czasu przedwojennego) musiał po smutnem rozbitciu Legionu wschodniego przejść do „rodzimego” wojska austriackiego. Nie mógł pogodzić się z losem. On, który od dziecka tak umiłował sprawę polską, że nawet z najbliższem otoczeniem wejść musiał w zatarg, zmuszony był porzucić szeregi niepodległościowe, zaniechać dzieła, nad którem współpracował od małego...

Drugi legionista, aspirant Rządek, także Ślązak, cierpiał niemniej z powodu tego przebrania go w mundur austriacki. Biedak nie doczekał powstania Polski niepodległej, poległ w mundurze austriackim.

Pułkownik Latinik miał rację; kompanja była naprawdę polska, przyjemnie się nią dowodziło. Chodziłem po placówkach, które kompanja wystawiała z tej właśnie racji, że stała w odwodzie, a inne kompanje bataljonu zapracowane były rozbudowując okopy i im więcej stykałem się z żołnierzem, tem silniej przekonywałem się teraz o polskości „stowaków”, którzy przed wojną w Krakowie wymyślali jeszcze krakowiakom od „chromskich (pierońskich) Poloków”. Różne Sikory i Czyże nie przyznawały się wówczas do narodowości polskiej i za *M u t t e r s p r a c h e* podawały, o ile tylko cośkolwiek liźnęły języka niemieckiego, „*d e u t s c h*”, albo „*b ö h m i s c h*”,

bo z tymi językami łatwiej było w 100 p. p., posiadającym korpus oficerski niemiecko-czeski, zostać podoficerem. Dziś był to pułk nie tylko śląski, ale najwyraźniej polski, a było to dzieło dowódcy Polaka, przemawiać do polskiej duszy ślązaka, było to dzieło nie wstydzącego się języka polskiego i umiejącego takich właśnie oficerów, jakich ja miałem w 15 kompanji.



Jeszcze raz na trzy tygodnie odkomenderowano mnie do dowództwa 12 dywizji, w lutym 1916 roku. Nie wyszło mi to na dobre, bo straciłem przez to dowództwo ulubionej 15 kompanji i po powrocie otrzymałem już kompanję inną, 20-tą, mniej polską o tyle, że oficerowie jej byli bez wyjątku Niemcami. Ale i z tą kompanją zżyłem się z czasem serdecznie, gdyż na jej czele przeszedłem później w lecie 1916 roku ogień huraganowy i wstępne boje ofensywy Brusilowa, wychodząc ze wszystkich opresyj z powodzeniem, a nawet szczęśliwie.

Na wiosnę 1916 roku zdarzyła mi się jeszcze sposobność zbliżenia się do dowództwa pułku i przyjrzenia się zbliska pracy jego dowódcy, pułkownika Latinika, dla którego z wojny europejskiej wyniosłem tyle przywiązania i uznania, że nawet ostatnia jego sprawa przemyska z byłymi legjonistami nie zachwia-

ła we mnie przekonania, że patriota to był szczerzy, sprawę polską miał zawsze na widoku podług swojego najlepszego pojęcia. Wszak dziełem pułkownika Latinika było usunięcie z 100 p. p. kapelana nie umiejącego po polsku i sprowadzenie na jego miejsce księdza Polaka, jego dziełem było przysporzenie pułkowi całego szeregu oficerów Polaków w miejsce nie znających języka „pułkowego“ Niemców, których najchętniej odsyłał do kadry; nie mówię tu o innych zaletach i cnotach żołnierskich tego dowódcy. Dowodziłem czas jakiś V bataljonem, w zastępstwie urlopowanego dowódcy, a bataljon ten stał właśnie przez dwa tygodnie w odwodzie obok dowództwa pułku, w Osowcach. Odwiedzałem bardzo często pułkownika Latinika; rozmowy nasze kończyły się zawsze westchnieniem: kiedyż nareszcie znajdziemy się w wojsku polskim! A był to czas, w którym pułkownik Latinik czynił usilne starania o dowództwo 2 brygady legjonowej. Naturalnie obiecał mi, że skoro tylko prośba pułkownika Latinika zostanie uwzględniona, mnie niezawodnie pułkownik ze sobą zabierze. Z tą nadzieją wyjeżdżałem w drugiej połowie maja na czterotygodniowy, pierwszy od wybuchu wojny urlop, do Krakowa i Zakopanego.

Już wszystkim moim znajomym i przyjaciółom w Krakowie i w Zakopanem rozpowieziałem, że przechodzę do Legjonów, że więcej do wojska austriackiego nie powrócę i już zacząłem się rozglądać za kurtką strzelecką i za maciejówką, gdy pewnego dnia

w Zakopanem, otrzymałem od pułkownika Latinka list pełen żalu, że jednak prośbie jego nie stało się zadość, że stawiał mu trudności generał Pflanzler-Baltin, że 2 brygadę Legjonów otrzymał podpułkownik Józef Haller i że słowem trzeba nam pozostać przy swoich „stowakach“...

Właśnie siedziałem u Karpowicza z bratem i przyjaciółmi i w gawędzie o Legjonach, uniesiony zapalem, opowiadałem o tem co było i co będzie, gdy list ów mi doręczono... Nie pozostało nic innego, jak zalać tego nowego robaka i pocieszyć się myślą, że może to nie ostatnia sposobność minęła...



Kiedy powróciłem z urlopu na front, Brusilow poczynił już pewne w nim zmiany. Kompanja moja trzymała się jednak dzielnie na swoim stanowisku, pod Dobrowodami. Wpadłem w wir walk, nie miałem czasu roztkliwiać się nad niespełnionymi nadziejami legjonowemi... Raz tylko wyładowałem swą złość na zbiegu rosyjskim, Żydzie, który, wbiegając z podniesionemi do góry rękoma do naszych okopów, zawołał chytrze, nie wiedząc, że trafia na dowódcę Polaka: „Hoch Deutschland, hoch Oesterreich!“... Wypędziłem go z powrotem do Moskali. Kilku moich żołnierzy posłało za Żydem kilkanaście kulek...

Tymczasem w dowództwie pułku zaszły zmiany. Pułkownik Latinik mianowany został dowódcą 23 brygady piechoty, tej właśnie, w której skład wchodziły pułki 100 i 56, a dowództwo 100 p. p. objął tymczasowo podpułkownik Erler, przybyły z 3 p. p., czesko-morawskiego; żołnierz to był dobry i odważny, a przytem i serdeczny i wesoły kolega, ale Niemiec zagorzały, nacjonalista, nie umiejący słowa po polsku.

Pod koniec lipca złuzowali nas Niemcy. 12 dywizja poszła dalej na południe, jak się to mówiło, „łatać dziury“. Rozpoczęły się na froncie galicyjskim większe wahania. Przyszły dla 100 p. p. ciężkie czasy. Jakoś brakowało poprzedniego dowódcy... Berezówka, Słobódka Dolna, Panowicze, Hnilcze, były to boje dla 100 p. p. chyba najcięższe i najnieznośniejsze, bo stoczone w odwrocie. Pułk bił się jednak mężnie, choć straty w rannych i zabitych ponosił znaczne, w „zaginionych“ małe.

Jakoś w połowie sierpnia zostałem mianowany adjutantem pułkowym. W pierwszych dniach września, gdy pułk 100-ny stał na pozycji pod Niemszynem, w okolicy Halicza, zjechał do dowództwa pułku pułkownik (dziś generał dywizji) Malczewski i oświadczył, że przeznaczony jest na dowódcę 100 p. p. Podpułkownik Erler był właśnie chwilowo nieobecny. Rozjaśniło mi się w duszy. A więc znowu Polak będzie dowódcą cieszyńskiego pułku piechoty, tego przerobionego z trudem z „chromskich szlaków“ na Polaków. Niewsmak było bowiem zawiedzionemu

w nadziei przedostania się do Legjonów bezpośrednio obcowanie z Niemcem, nacjonalistą, jakim był podpułkownik Erler.

Pułkownik Malczewski, po dłuższej rozmowie ze mną, w języku polskim, poszedł do okopów i powrócił z nich do dowództwa pułku dopiero coś na trzeci ranek. Zaimponowała mi taka troskliwość mego przyszłego dowódcy o los żołnierza w okopach. Ale tymczasem poczyniono wszelkie starania, aby dowództwo 100 p. p. pozostawiono podpułkownikowi Erlerowi; wstawił się za nim dowódca dywizji, ekscelencja Hinke i niestety pułkownik Malczewski musiał „stowaków” opuścić na zawsze.

Pozostałem w dowództwie 100 p. p. sam jeden Polak wśród kilkunastu zażorzałych Niemców i chtrych Czechów.

Tak ostatecznie skończył się mój sen o Legjonach z wiosny i lata 1916 roku.



Pod koniec września przewieziono 12 dywizję z pod Halicza koleją w Karpaty. Pułkowi 100-mu wyznaczono odcinek między przełęczą Pantyrską a szczytem Siwuli, z widokiem na Nadwórnę. Dowództwu pułku przypadła na mieszkanie chatka, położona w kotlinie za grzbietem górskim, nad prze-

pięknem jeziorkiem, utworzonym sztucznie przez zamknięcie potoku, po którym, zanim zapanowała tam wojna, spławiano drzewo z okolicznych, prawie dziewiczych lasów. Był to w dalekim promieniu jedynej dowód życia ludzkiego w tym cudownym, choć tak dzikim zakątku, nazwanym Klauzurą Płajską. Jak w klauzurze klasztornej poza mnichami, tak tu poza wojskiem nie było żywego ducha ludzkiego. Pustka.

Obok chatki stał krzyż wysoki, z szeroko rozwartymi ramionami; na ramionach widniał jakiś napis. Podszedłem bliżej i wyczytałem mniej więcej te słowa: „Tu poległa za Ojczyznę placówka 3 p. p. Legionów. Cześć pamięci bohaterów! Rok 1914“... A więc nareszcie spotykam zbliżenie tych, do których tęsknię od wybuchu wojny, chociaż spotykam — umarłych...

Całe dwa miesiące stoimy pod Siwulą, odpoczywając po bitwach stoczonych nad Strypą, Koropcem i Żółtą Lipą. Raz na tydzień tylko, jakby dla przyzwyczajenia, wymieniamy parę strzałów armatnich ze stroną przeciwną, pozatem chodzimy pomiędzy frontami na polowanie, na jelenie i dziki. Pobudowaliśmy już całe miasto domków i ziemianek, urządziliśmy się z polowym komfortem, jest nam tak dobrze, jak nigdy dotąd od początku wojny...

Wieczorami przesiaduję pod krzyżem. Cisza zalega kotlinę, zapada zmierzch. Wówczas odtwarzam sobie w duszy ów tragiczny obraz: kilku czy kilkudziesięciu legionistów, chłopców niedorosłych, z trudem

dźwigających ciężki karabin, broni do ostatniego tchu placówki ostatniej, bo położonej na samej południowej granicy Polski, broni Moskałom przejścia przez Karpaty na Węgry, wówczas, gdy już cała niemal Polska, aż hen po Kraków, zalana jest Moskałami...

Potęguje się znowu we mnie tęsknota do szeregów polskich, potęguje tem bardziej, że dochodzą z Warszawy słuchy o tem, że tworzyć się będzie cała armja. Tu w Karpatach nie słyszę sporów i wątpliwości, budzących się w narodzie na pytanie, czy wojsko stworzone z pomocą Niemców, dla dalszych losów Ojczyzny będzie pożyteczne... Rozumuję po prostu, że im więcej będzie żołnierza polskiego pod polskim dowództwem, tem łatwiej będzie, choćby przeciw tym Niemcom „dobroczyńcom“ zwrócić we właściwej chwili ostrze bałnetów po niepodległość.

Ja c h c i a ł e m maciejówki!...



Tu w Klauzurze Płajskiej, na granicy Polski i Węgier, doszło mnie rozporządzenie austriackiego Naczelnego dowództwa, mówiące o tem, że do szkolenia tworzącego się na terenie okupacji niemieckiej Kongresówki wojska polskiego mają być przydzieleni także oficerowie austriaccy, polskiej narodowości. Pamiętam, że po raz pierwszy za czas mej służby w wojsku austriackiem wyczytałem w piśmie urzędo-

wem wyraźnie słowo „narodowości“ (N a t i o n a l i t ä t) zamiast słowa „pochodzenia“ (A b s t a m m u n g) albo „M u t t e r s p r a c h e“. Nie wiem, czy dowódca pułku, który, jak wspomniałem, był Niemcem nacjonalistą, byłby mi to pismo pokazał, gdybym, jako adjutant pułku nie był sam je wyjął z koperty i przeczytał. Już nie pamiętam dokładnie treści owego rozporządzenia, były tam, o ile sobie przypominam, podane warunki takie, jak zupełnie biegle władanie językiem polskim, pewność, że oficer odkomenderowany nie przyniesie ujmę mundurowi cesarskiemu, przejście tymczasem do stanu nadliczbowego armji (ü b e r k o m p l e t t) i t. p. Podpułkownik Erler przeczytał rozporządzenie i nie wyrzekł ani słowa.

Na drugi dzień przed południem ubrałem się w kompletny strój polowy z wszystkimi przepisowymi wisiorami i stanąłem przed moim dowódcą z prośbą o wzięcie na listę kandydatów.

— Byłem tego pewny. Nie dziwię się, wręcz przeciwnie, cenię w panu nad wyraz otwartość przyznawania się do swojej narodowości i pragnienie służenia we własnym wojsku. Żałuję tylko, że pana tracę. Umieszczę pana na liście kandydatów. — To były słowa podpułkownika Erlera, Niemca nacjonalisty, za które do dnia dzisiejszego żywię dla niego wdzięczność.



Pod koniec listopada przewieziono nas raz jeszcze, dalej ku południowi, na pogranicze rumuńskie, przez Dorną Watrę pod Jakobeny. 100 p. p. rzucono wprost z wagonów do boju, bo tego wymagało położenie na froncie. Mieliśmy przed sobą oddziały rosyjskie, z niesłychaną zaciętością nacierające na południowe skrzydło armii generała Pflanzera; były to ostatnie wysiłki ofensywy Brusilowa.

Zatem w ciężkim bardzo dla 100 p. p. położeniu, a było to w połowie grudnia, przyniosła poczta z 12 dywizji rozkaz powołujący mnie do Warszawy. Nie przypuszczałem... Dochodziły mnie poprzednio słuchy, że zgłoszonych zostało coś tysięcy czy dwa tysiące oficerów, odkomenderowanych zaś miało być tylko kilkunastu. Nie użyłem żadnej protekcji. Pojęcia nie miałem, co zadecydować mogło o moim własnie wyborze w Wiedniu; może to, że byłem adjutantem pułkowym, a o takim przypuszczano przecież z góry, że dostatecznie dowiódł austriackiej lojalności; tymczasem ja zostałem adjutantem 100 p. p. dzięki dowódcy Polakowi, dzięki pułkownikowi Latinikowi. Kiedy później w Warszawie poznałem kolegów, których z tysiąca czy dwóch wybrano w Naczelnem dowództwie austriackiem, zrozumiałem, że chciano zastosować klucz dwojaki, powołać i takich i owakich, ale że naogół „źle“ wybrano...

Wśród ciężkich walk, wśród gęstego ognia ciężkiej artylerji rosyjskiej, grającej jakby na moje pożegnanie, opuszczałem front rosyjski, opuszczałem woj-

sko austriackie, w moim najgłębszym przekonaniu—na zawsze. Wiozłem przecież ze sobą rozkaz pożegnalny 100 pułku piechoty austriackiej, za 11 lat służby, zaczynający się od słów:

„Herr Oberleutnant Kwaśniewski ist, dem Zuge seines Herzens folgend, in die Reihen der polnischen Armee getreten“...

„Za głosem serca“ wstępowałem — podług słów rozkazu — w szeregi wojska polskiego, za tym głosem, któremu kazano milczeć lat przeszło jedenaście...

„Wstąpiłem w szeregi wojska polskiego“, a więc już nie wrócę.

I za ten rozkaz wdzięczny jestem podpułkownikowi Erlerowi dozgonnie.



Rok 1916 zakończyłem w Wiedniu.

Nakazano nam w przejeździe do Warszawy meldować się u zastępcy szefa sztabu generalnego, generała von Höffera. Najwidoczniej ekscelencja ten miał za zadanie wyczytać każdemu z nas z oczu, czy odpowiadamy zamiarom rządu austriackiego. A zamiary te były niewątpliwie takie: nie dopuścić do wyłączności niemieckiej przy tworzeniu owego wojska polskiego, a więc dać mu oficerów takich, którzy-

by względem Niemców nie byli zbyt ulegli, mieli nad nimi przewagę, władając językiem polskim, z drugiej jednak strony nie dać oficerów takich, którzyby tłumacząc sobie błędnie zamierzenia cesarza Karola, oddali się całkowicie na usługi Legionów i zapomnieli o swojej austriackości. W Warszawie miał zresztą nad tem czuwać przedstawiciel austriackiego Naczelnego dowództwa, pułkownik von Paic, ze swymi pomocnikami, kapitanami Towarkiem (akcent na o) i Zimą (czytaj Cima bez zmiękczenia c), o których jeszcze opowiem.

Stanąłem przed ekscelencją wyprostowany na baczność i na pytanie, czy zgłosiłem się dobrowolnie, odpowiedziałem, że tak, a na pytanie dlaczego, rzekłem, że jestem Polakiem i nic więcej. Ekscelencja był najwidoczniej z mojej odpowiedzi niezadowolony, gdyż prawdopodobnie oczekiwał odpowiedzi zapewnienia, że *treu bis in den Tod* pozostanie oficer austriacki wszędzie, nawet w wojsku polskim, które, podług zamiaru cesarzów z Wiednia i Berlina, miało tylko przysporzyć wojskom centralnym „*K a n o n n e n f u t t e r*” i nic więcej. Obejrzał mnie ekscelencja od stóp do głowy, stwierdził, że jestem przepisowo odziany, bo to należało w wojsku austriackim do rzeczy najważniejszych i wypowiedział kilka ogólników na temat naszego powołania do Warszawy, że AOK. liczy na naszą „*K o r e k t h e i t*”, że należy nam ściśle trzymać się instrykcij przedstawiciela warszawskiego i t. d. Mel-

dowałem się pierwszy. Jak się później dowiedziałem, dalszym kandydatom już wyraźniej tłumaczył ekscelencja, czego od nas żąda austriackie AOK. Wreszcie dowiedziałem się z ust generała von Höffera, że pomiędzy Wiedniem a Berlinem toczą się jeszcze w naszej sprawie umowy i że tymczasem mam się udać do Krakowa, gdzie przez komendę twierdzy otrzymam ostateczny rozkaz wyjazdu do Warszawy.

Był to ostatni dzień 1916 roku, Sylwester. Wyszedłem wieczorem na ulice. Pijany Wiedeń nie mieścił się na chodnikach, zawalał jezdnie, śpiewał, hałasował do białego rana. Zwyczajem wiedeńskim po północy, na powitanie Nowego Roku, całowali się ludziska, znajomi i nieznajomi. I ja całowałem co piękniejsze wiedenki z radości, że to już koniec i tego roku i tych lat jedenastu, które przesłużyłem w wojsku austriackim.

---

### III.

#### PRZEZ WARSZAWĘ DO LINCU.

Trzy tygodnie przeczekałem jeszcze w Krakowie na ostateczny rozkaz powołujący mnie do Warszawy. Trzy tygodnie trwały jeszcze owe umowy pomiędzy Wiedniem a Berlinem co do naszego ustosunkowania do tworzącej się „polskiej siły zbrojnej“.

Spotykałem tymczasem mnóstwo znajomych kolegów z wojska austriackiego, Polaków, przebywających w Krakowie na urlopie; zazdrościli mi, dowiadywali się, jak ja to zrobiłem, że dostałem się do Warszawy, bo i oni przecież prosili, ale bezskutecznie. W krakowskiej komendzie twierdzy pokazano mi listę powołanych; znalazłem na niej jedno tylko znajome mi nazwisko, kapitana Jerzego Dobrodzickiego z 20 p. p. Lista obejmowała coś dwudziestu dwóch oficerów, jedna trzecia mniej więcej zawodowych, reszta z rezerwy, najwyższy stopień kapitana; zrozumiałem, że chodzi Niemcom o to, aby nie przypadły nam wyższe stanowiska. Zresztą nie domyślałem się zbyt wiele, jak to będzie ze stanowiskami.

Jedno zdawało mi się być pewnem, że w wojsku polskiem dowodzić będą tylko Polacy, ale nigdy Niemcy, którzy co najwyżej odegrać mogą rolę instruktorów.

Sprawiłem sobie nowy mundur, naturalnie kroju legionowego, taki, że tylko gwiazdki austriackie odpruć należało i przyszyć wężyki legionowe, aby stać się legionistą. Do fotografii w tym mundurze zjąłem już wszystkie odznaczenia austriackie.

Gotowy do drogi czekałem niecierpliwie, a tymczasem tysiąc przypuszczeń i tysiąc nadziei chodziło po mojej głowie... Już widziałem się na czele oddziału, wypędzającego Niemców z Warszawy, to znowu Austriaków z Krakowa, widziałem Polskę całą zalaną szeregami wojska polskiego, bez końca, bez końca... Kto mógł udźwignąć broń, stawał w te szeregi. Kiedyż, jeżeli nie teraz, nadarzy się sposobność chwycenia za broń wroga i oczyszczenia Polski z najezdźców? — Jak kamfora ulotniły się z mojej pamięci czasy austriackie. Już nie widziałem przechodzących obok mnie ulicami Krakowa oficerów austriackich, już nie słyszałem języka niemieckiego, którego jednak podówczas w Krakowie było tak wiele. Skończyłem z Austrią. Sny dziedziczne stają się jawą — myślałem.



Nareszcie 27 stycznia 1917 roku jestem w Warszawie. Jakoś mi nieswojo na ulicach stolicy polskiej w mundurze austriackim, czuję, że ludzie oglądają się za mną, ale wydaje mi się, iż na czole mam wyraźnie napisane, że jestem Polakiem i że przyjechałem zamienić ten mundur na polski.

Czy tego samego dnia, czy następnego, nie pamiętam, melduję się w Komendzie Legjonów. Tam o godzinie oznaczonej poznaję tych 22 moich kolegów z armii austriackiej. Jest kilku takich, którzy przypinali do czapek polskie orzełki, jeden nałożył już nawet maciejówkę, podporucznik Kniaziółucki już wdział cały mundur legjonowy. Wszyscy ciekawi jesteśmy przyjęcia. Wchodzimy do gabinetu Komendanta legjonów, pułkownika (dziś generała broni) Szeptyckiego i stajemy półkolem. Z natężeniem ucha i serca słuchamy przywitania mniej więcej takiego:

— Panowie będziecie przydzieleni do Niemców, którzy tworzyć mają polską siłę zbrojną, odbędziecie niemiecki kurs piechoty i karabinów maszynowych, poczem przydzieleni zostaniecie w charakterze instruktorów, a może dowódców bataljonów i kompanij, do rekruckich obozów wyszkolenia na równi z oficerami niemieckimi. Gospodarczo przydzieleni jesteście panowie do Komendy legjonów, pod względem dyscyplinarnym podlegać będziecie przez najstarszego z was, pana kapitana Tabaczyńskiego, przedstawicielowi AOK., a pod względem wyszkole-

nia macie tymczasem do czynienia wyłącznie z Niemcami. Łącznikiem pomiędzy panami a przedstawicielem AOK, będzie obecny tu pan kapitan szt. gen. Towarek.

Już stoi pomiędzy nami taki „sztebler“ z czerwonym na kołnierzu i przygląda się każdemu z nas z osobna bardzo dokładnie...

— Proszę mi nie politykować... Witam panów — i t. d.

Zgłupiałem. Ktoś zebrał na odwagę, zdaje mi się, że ten z maciejówką i zapytał, jak to będzie z mundurami.

— Tymczasem zatrzymacie panowie mundury austriackie — brzmiała odpowiedź.

Dobre i to „tymczasem“ na pociechę...

Zabrzęczały ostrogi, stuknęły obcasy i wychodzimy. W poczekalni poglądamy po sobie strasznie głupio...

Więc jak to? Przecież mi napisano w rozkazie pożełnalnym „..... ist in die Reihen der polnischen Armee getreten“. Co znaczy przydzielenie do Niemców, na równi z Niemcami? Czy i Niemcy otrzymają w tym polskim wojsku dowództwa?

Miałem list od pułkownika Latinika do pułkownika Szeptyckiego z poparciem mojej prośby o powołanie na kurs przygotowawczy sztabu generalnego; o planie otwarcia w Warszawie takiego kursu dowiedziałem się jeszcze na froncie. Wręczyłem list Ko-

mendantowi Legjonów, wychodząc z jego gabinetu. — W kilka dni potem otrzymałem ustnie odpowiedź odmowną. Kurs przeznaczony był tylko dla oficerów polskich, dla takich jak ja, Austrjaków, miejsca tam nie było.

Mamy się jeszcze meldować w AOK. — *Vertretung* przy ulicy Foksal. Może tam dowiemy się czegoś więcej. Ruszamy, kapitan Tabaczyński prowadzi. Idziemy paczką, więc ludzie na Nowym Świecie stają i przyglądają się nam, najwyraźniej z niechęcią patrzą na ten nowy transport okupantów. Ten i ów z kolegów wyklina siarczyście, są i tacy, co uspokajają; jednak nie wszystkim śpieszy się przebrać w mundur legjonowy.

Po krótkim nic nie obiecującym przywitaniu — przed oblicze przedstawiciela AOK. wezwano najstarszego z nas, kapitana Tabaczyńskiego. Jakieś instrukcje otrzymał kapitan Tabaczyński, dzieli się z nami tem, co przeznaczone jest do wiadomości ogólnej, a więc tem, jak należy nam zachowywać się poprawnie względem Niemców, z rezerwą względem politykujących Legjonistów i t. p. Zamieszkać mamy w Warszawie, skąd codziennie wyjeżdżać będziemy z instruktorami niemieckimi do obozu ćwiczeń w Jabłonie, gdzie stoją oddziały niemieckie. Tyle na początek.

— Psiakrew! — powiada Jurek Dobrodzicki — chodźmy na wódkę...

I polało się tym razem wódki moc na zmartwienie tego pierwszego dnia pobytu w wojsku polskim, głównie na to zmartwienie — „gospodarczego przydziału do Legjonów...” Gawędom i radom nie było końca.



Przytoczyć tu muszę z tomu II „Wspomnień Legjonowych” ustęp ze wspomnienia Anatola Minkowskiego (str. 204) i dać nań odpowiedź:

„W jakim charakterze znajdowali się mówiący po polsku austriaccy oficerowie, którzy przecież nie instruowali, tego nie wiem i może tej kwestji nie zgłębiać, by przypadkowo nie uchylić wstydlivego rąbka historii...”

Nie pamiętam, którzy z mych kolegów byli na kursie opisanym przez podpułkownika Minkowskiego i dlatego nie mogę sprzeciwić się nazwaniu tych kilku — tylko „mówiącymi po polsku”. Chodzi mi o większość moich kolegów, którzy ze mną przybyli do Warszawy i o to, aby sądu podpułkownika Minkowskiego czytelnik nie odniósł do ogółu tych „Austriaków”.

O charakterze, w jakim nas do Warszawy przysłano, napisałem już wszystko, co wiedziałem, względnie czego się domyślałem. Rząd austriacki nie chciał dopuścić do wyłączności niemieckiej w tworzeniu polskiej siły zbrojnej. Jasnym dla nas było, że

AOK. zależało na tem, aby w Warszawie mieć oficerów pewnych, t. j. takich, którzyby się ani nie zniemczyli, ani nie zlegjonizowali. Ale czy AOK. mogło wśród biegle po polsku mówiących młodszych oficerów (a tacy to jednak jeszcze byli Polakami) znaleźć aż dwudziestu paru takich właśnie ultralojalnych, czy mogło ponadto, wybierając na papierze, przejrzeć ich wszystkich? Znalazł się pomiędzy nami jeden słabo mówiący po polsku, jeden Rusin i jeden późniejszy bolszewik, osławiony dziś komunista Da-bal, wówczas austriacki podporucznik rezerwy, zgoda, był jeden i drugi — tylko mówiący po polsku. Ale ogół, duża większość to była jednak wiara prawdziwie polska. Nie będę opisywać każdego z osobna, bo wszyscy bez wyjątku nie byłiby jednak z tego opisu zadowoleni. Ciąg dalszy tych wspomnień rzuci na niektórych jeszcze wyraźniejsze światło. Wspomnę tu tylko o mówiącym ze łzami w oczach o przyszłej Polsce, najstarszym z nas, kapitanie Tabaczyńskim, który najlepszą miał wolę, choć czynami nie mógł wręcz dowieść, że nie tylko mówi, ale i czuje po polsku; dźwigał on bowiem ciężką odpowiedzialność za tych wszystkich, którzy do wskazówek przedstawiciela AOK. nie zamierzali zbyt ściśle się stosować; on za nas odpowiadał i dlatego też nosił przydomek: „tata”. Wspomnę o kapitanie Jerzym Dobrodzickim, który szturmem zdobył sobie serca nie tylko nasze, ale i kolegów z Legionów i nie tylko dlatego, że posiadał niezwykły humor, ale że i na spr-

wę zapatrywał się najzdrowiej, bo z największym niedowierzaniem. Wspomnę nie mniej wesołego i miłego towarzysza, podporucznika Szulisławskiego, tak rewolucyjnie wobec panującego w Warszawie porządku nastrojonego, że musieliśmy mu dać przydomek „Robespierre'a”. Wspomnę porucznika Mężyńskiego, brata legionisty, również zdecydowanego niepodległościowca i strasznie zacnego kompana. Większość tych austriackich oficerów pochodziła ponadto z rezerwy, więc tylko na czas wojny ubrana była w mundury austriackie, a pozatem byli to ludzie z tejsamej krwi i kości, co i legioniści.

Pomiędzy zamiarami AOK, a zamiarami naszymi była mniej więcej odległość taka sama, jak pomiędzy zamiarami Beselera a zamiarami Piłsudskiego. Zresztą lepiej nie domyślać się zbyt wiele o zamiarach rządu austriackiego, bo to rzecz wiadoma, że ten nigdy dobrze nie wiedział, czego chciał. Uchylibyśmy ponadto, istotnie niepotrzebnie, za wiele tego wstydliwego rąbka historii, o którym mówi kolega Minkowski, ale który w ten sam przecież sposób zasłania zamierzenia Austrii w stosunku do nas, kilkunastu Polaków ubranych w mundury austriackie, jak i do kilkudziesięciu Austrjaków odzianych w mundury legionowe. Pobożnym życzeniem Austrii było przecież mieć całe Legjony, jako austriacki „landszturm“...

Inna była sprawa opieki, jaką przedstawił AOK. roztoczył nad nami przy pomocy kapita-

nów, o których już wspomniałem i w której nienajgorzej dopomagali mu „poprawnie zachowujący się” Niemcy.

O tem, czy oficerowie austriacy instruowali i jak, opowiem później.



Codziennie o 7 rano zbieramy się na dworcu kowelskim (dziś gdańskim) i jedziemy koleją do Jabłonny.

Jako instruktorów dodano nam dwóch oficerów niemieckich; pierwszym był major Wessig, drugim kapitan von Beulwitz. Pierwszy Prusak, o wysztorcowanych wąsikach, ze względu na to, że na samym wstępie zdradził nam, że w wojsku polskiem otrzymać ma dowództwo pułku i że już nawet ma patent podpisany przez cesarza Wilmelma i że ponadto zamierza się uczyć języka polskiego (wymawiał już wcale dobrze „ładna panna”), nazwany został przez nas po polsku Wąsikiem, zważywszy na wysztorcowany wąsik, jak i na podobieństwo nazwiska Wessig do Wąsik. Drugi Sas, oficer pochodzący z rezerwy, czy też przed wojną przeniesiony w stan pozasłużbowy (*a u s s e r D i e n s t*), nie zdradzał zamiaru robienia kariery w wojsku polskiem, przeciwnie wręcz oświadczył, że przyszedł tu dlatego tylko, aby nie narażać więcej swego cennego życia na froncie zachod-

nim; był to zresztą niesłychanie uprzejmy, łagodny i taktowny gentleman, rozumiejący nawet cośkolwiek z polskiej ideologii niepodległościowej.

W Jabłonie stała większa ilość bataljonów niemieckich, złożonych z uzdrowieńców, starszych i młodszych żołnierzy, byli też rekruci. Był to zbiornik rezerw dla frontu wschodniego, jest i ta racja trzymania tak wielkiej ilości wojska na ziemi polskiej, aby nie potrzebował jej żywić „V a t e r l a n d” niemiecki, wreszcie i ta, aby pod boki stolicy na wszelki wypadek, gdyby legioniści i t. d.

Wpierw przyglądamy się ćwiczeniom tych bataljonów, oficerowie niemieccy tłumaczą nam wszystko z regulaminem w rękę, musztrę, walkę, szkołę strzelca. Różnice pomiędzy regulaminami niemieckimi, a austriackimi są jednak dość znaczne, więc mamy pracy niemało z tem przeobrażeniem się w oficerów niemieckich. Robimy mocno zainteresowanych, bo nuż uznają którego z nas za materiał nienadający się do tego wojska polskiego—z niemiecką komendą (uczynimy się bowiem komend nie polskich, lecz niemieckich) i wyrzuca z powrotem do wojska austriackiego.... A kapitan Towarek jest ciągle wśród nas i wszystko widzi, wszystko słyszy...

Między innymi uczą nas Niemcy, jak to należy objaśniać żołnierza ze zrozumieniem jego intelektu, po prostu, a jasno. Zaczynamy już próbować. Jednemu z kolegów przypada objaśnienie grupce żołnierzy, w jaki sposób zachować się należy kompanji

piechoty w ogniu artyleryjskim, czy coś podobnego; więc objaśnia, łamie sobie język, bo był to oficer rezerwy i dobrze niemieckiego nie posiadał, a jednak wtrąca w każde zdanie po prusku „mal”, aby żołnierze lepiej go zrozumieli i kończy naturalnie zapytaniem:

— Haben Sie gut verstanden?

— My zaś tam wszystko niemieckie nie rozumiemy — brzmiała odpowiedź jednego z żołnierzy, w imieniu całej grupki.

Dopiero teraz patrzymy po spoconych twarzach żołnierskich. Takie sienkiewiczowskie Bartki zwycięzcy...

Więc i tu bracia nasi w niemieckich mundurach. Spotykałem ich już pod Gorlicami w szeregach gwardji i korpusu generała von François. Tam miny mieli jednak wyraźniejsze, bardziej polskie, tu najwidoczniej zabroniono im zdradzać w czemkolwiek polskość. Dowiedzieliśmy się potem od podoficerów, że w bataljonach niemieckich w Jabłonnie Polaków było sporo, ale już potem Niemcy skwapliwie dobierali do naszych prób i doświadczeń żołnierza takiego, żeby dla uproszczenia sprawy nie trzeba było tłumaczyć na polską „Muttersprache”.



Dwa miesiące trwała ta jazda codzienna do Jabłonny.

W tym czasie kilkunastu z nas odkomenderowano na trzytygodniowy kurs karabinów maszynowych do Rembertowa. Między tymi kilkunastoma znalazł się też mój przyjaciel, kapitan Dobrodzicki. Przydzielono i mnie.

W Rembertowie przedstawił się nam jako instruktor niemiecki kapitan von Cleinow; uchodził on wśród Niemców za najlepszego kandydata do wojska polskiego, gdyż znał nienajgorzej język polski, względnie gwarę polską z Prus wschodnich, a poza tem posiadał wszystkie kwalifikacje krzyżackiego Kulturträgera i prowokatora.

W Rembertowie poznaliśmy kilku oficerów legjonowych, którzy tam tworzyli komendę placu, czy też stację zborną. Oficerowie ci, było ich trzech czy czterech, nie mieli jednak żadnego kasyna, spotykaliśmy się z nimi tylko w cukierence; zmuszeni byliśmy więc jadać w kasynie niemieckiem.

W kasynie tem poznaliśmy sporo oficerów niemieckich. W większości byli to jednak ludzie mający coś wspólnego z tą Polską, do której budowy ich przysłano. Więc n. p. kapitan Stein von Kamiński szczylił się tem, że jeszcze ojciec jego był polskim szlachcicem i nazywał się tylko Kamiński, herbu takiego a takiego; syn uznał już jednak za stosowne dodać do tego pięknego polskiego nazwiska słówko nie-

mieckie „Stein“, gdyż poza polskiem „psiakrew“ i kilku podobnemi słowami po polsku nie mówił i jak otwarcie się przyznał, Polaków nie kochał, z wyjątkiem warszawianek, tych z ulicy Marszałkowskiej i z Alej ujazdowskich. Był między tymi Niemcami oficer rezerwy o czysto polskiem nazwisku; pamiętam jego twarz przystojną, inteligentną, o oczach głębokich, kryjących na dnie jakieś dziwne zamyślenie; oficer ten był niemniej od Steina zniemczony, nie mówił po polsku, ale przyciśnięty, po pijanemu, do muru, przyznawał się ze łzami w oczach, że ojciec jego był polskim powstańcem, że na łożu śmierci błagał go, by wiary ojców nie zdradzał; syn wstydzi się jednak pogardzanej w Niemczech narodowości i obawia pozatem, aby go za polonofilstwo nie posłano stąd pod Verdun, gdzie tyle grozy się napatrzył i tyle przeszedł trudów; więc prosi, by go nie wydawać przed kolegami. Było tam kilku feldwebel-lejtnantów z cudacznie powykręcaneimi polskimi nazwiskami, mówiących świetnie po mazursku, ale nie znających polskiego języka literackiego; wiedząc o tem, że nie mówią po polsku tak, jak my, twierdzili, że tej polszczyzny, którą mówią, „nauczyli się“ w Prusach wschodnich, ale że Polakami nie są i nigdy nie byli; dopiero po większej libacji, po wyjściu z kasyna, w noc ciemną, postawieni przez wesołych kolegów austriackich, naturalnie żartem, pod drzewkami rembertowskiego lasku, pod groźbą luf rewolwerych, przyznawali, że są jednak Polakami bez za-

strzeżeń, ale że im do tego przyznawać się zabroniono — specjalnie przed przyjazdem do Warszawy.

Pijemy z tymi Niemcami co wieczór. Są tacy wśród nas, którzy przy tem pijaństwie mają nadzieję zarobić pruski krzyż żelazny, są tacy, którzy położenie wyzyskują, aby od podchmielonych Niemców wydobyć, co sądzą o przyszłości wojska polskiego i jak zapatrują się na polską niepodległość, są wreszcie i tacy, którzy, jak wspomniałem, na pijanych Niemcach starają się wymusić skruczę renegata. Mówi się o braterstwie Niemiec i Austrii, wznosi się toasty na pomyślność tworzącego się wojska polskiego... A kolega Dobrodzicki po każdym takim toaście powtarza: „Jak świat światem, nie był i nie będzie krzyżak Polakowi bratem!” — i nawet stara się to Niemcom wytłumaczyć.

— Do ładnego — myślę sobie — przysłano mnie wojska polskiego.

Po skończonych kursach nie wiedzą Niemcy, co z nami począć, jeszcze mniej wie przedstawiciel AOK., najmniej Komenda legjonów. Zbliżają się święta Wielkiej Nocy, najlepiej będzie posłać ich na dłuższy urlop — powiada sobie „Polnische W e r h m a c h t“, — w międzyczasie może się coś wykalkuluje.

Jedziemy, ale lęk nas zbiera, że po świętach trzeba będzie może wracać do armji austriackiej. Jak jest, to jest, — myślę sobie — ale z powrotem za nic! Przecież z tych prób niemieckich i tak nie bę-

dzie dla Niemców pociechy, ani przez chwilę nie przypuszczam, a żołnierz polski pod bronią stanie i Wódz jest, choć milczy uparcie... Przyznaję, że naiwne były te moje rozumowania. Przed wojną siedziałem w Bośni, w czasie wojny do końca 1916 roku na froncie, nie znałem tajników polityki, nie znałem różnic politycznych w narodzie, wiedziałem tylko, że trzeba nam wojska...

Powróciliśmy z urlopów w połowie kwietnia. Całe dwa tygodnie przesiedzieliśmy jeszcze bezczynnie w Warszawie w oczekiwaniu dalszych rozkazów.

W końcu rozkazy te przyszły. Poprzydzielano nas do tworzących się Kursów wyszkolenia, noszących numery legionowych pułków piechoty i dn. 27 kwietnia rozjechaliśmy się po obozach. Kursy te otrzymać miały organizację kompletnych pułków, dowództwa tych pułków obsadzone być miały przez Niemców, dowództwa bataljonów i kompanij przez Niemców, Austriaków i legionistów. Podoficerowie funkcyjni w kompanjach, a więc podoficerowie broni, mundurowi i furazowi — Niemcy, w bataljonach pisarze również Niemcy.

Teraz dopiero otworzyły mi się oczy na to wszystko, co widział już w grudniu 1916 roku w Warszawie kolega Anatol Minkowski i co tak pięknie i prawdziwie opisał na wstępie do swojego wspomnienia „Ostatnia walka o polskość Wehrmachtu“.

Ale w „Ausbildungskursus“ 3 p. p. Legionów w Zegrzu, do którego ja zostałem przydzielony, było nieco inaczej, niż w pułku i kursie, opisanym przez kolegę Minkowskiego. Tutaj zaraz po otwarciu kursu i bez sprzeciwów dowództwo objął niemiecki podpułkownik von Enckevort, dowództwo bataljonu, w którym ja otrzymałem kompanię, również Niemiec, kapitan de Vivanco, tylko kompanie w tym bataljonie obsadzone zostały przez oficerów legionowych, nie mówiąc o mnie — Austriaku.

I tutaj znalazło się sporo takich Niemców, którzy z Polską chcieli mieć coś wspólnego. Jeden opowiadał co wieczór, że jego matka jest Polką, drugi z zapałem mówił o Polsce niepodległej i wielkiej, tylko bez Poznańskiego, trzeci nazywał się Gwóź i tylko wymawiał swoje nazwisko z niemiecka — Gwochtsch, czwarty i t. d.

Rozpoczęły się wśród oficerów legionowych rozmowy na temat, co dalej począć, jak pozbyć się niemieckich gości, ograniczyć ich jedynie do roli instruktorów. Teraz dopiero poznałem bliżej różnice istniejące pomiędzy brygadami. Byli tacy wśród oficerów legionowych, którym dowództwo niemieckie nie tylko nie przeszkadzało, lecz wręcz przeciwnie imponowało, byli tacy, którzy, choć niewsmak im był dowódca niemiecki, znosili go, bo uważali, że można od niego dużo się nauczyć, byli i tacy, którzy z oburzeniem odrzucali dalsze pozostanie Niemców nie tylko na stanowiskach dowódców, ale i in-

struktorów i grozili — „kawałami“. Oficerowie austriaccy, przynajmniej w 3 p. p., byli naogół dopuszczani w rozmowach tych do głosu, ale nie powiem, co mówili... A co z nich mówiłem ja, domyśli się czytelnik po przeczytaniu tych wspomnień do końca.

Rekrutów nie napłynęło zbyt wiele. Byli wśród nich przeważnie tacy chłopcy, co to w domu byli zawadą, ale byli i tacy, co do tego wojska polskiego zgłosili się z zapałem, w przekonaniu, że dobrze przysłużą się Ojczyźnie. Rogatywki niemieckiej roboty podobały się nawet, tylko „kura“ w czerwonym polu, naszyta na ramieniu pruskiego kabata, nie bardzo była podobna do orła białego; ale na drelichach nawet i „kury“ nie było.

Już dwa miesiące szkolimy w Zegrzu, już przywiązałem się do kompanji, chłopcy mnie kochają, nie widzą nawet we mnie Austriaka, choć jeszcze ciągle chodzę w austriackim mundurze.



26-go czerwca przenoszą kurs wyszkolenia 3 p. p. leg. z Zegrza do Ostrowia-Komorowa.

Zaczynają chodzić słuchy, że na skutek akcji, wszczętej przez oficerów legjonowych u Inspektora Wehrmachtu, generała Bartha, oficerowie niemieccy i austriaccy złożyć mają dowództwa i pozostaną

stać tylko instruktorami, a że wszystkie dowództwa obsadzone zostaną wyłącznie przez oficerów legjonowych. Zgoda! Rozumiem i cieszę się niewymownie z takiego powodzenia zabiegów, podjętych przez moich lepszych kolegów legjonowych; ale dlaczego traktuje się nas, Polaków, ubranych tylko w mundury austriackie, znowu na równi z Niemcami? Żalu swojego nie ukrywam, dzielę się nim z kolegami, zarówno austriackimi, jak i legjonowymi. Pokazuję wszystkim ów rozkaz pożegnalny, w którym wyrażenie mi napisano: „...wstąpił w szeregi wojska polskiego“, a więc ze wszystkim i na zawsze.

Nie mam styczności z innymi kursami, nie wiem, jak dalece zaskarbili sobie uczucia legjonistów inni koledzy moi z wojska austriackiego, dowiaduję się jednak, że niektórzy z nich dziwnie niezyczliwe względem Legjonów zajmują stanowisko i że chowają się raczej za plecy niemieckie. Zaczynam rozumieć... Zaczynają także i moje rozgoryczenie rozumieć legjoniści.

Właśnie zaszedł w Ostrowiu wypadek, opisany przez kolegę Minkowskiego, który poruszył cały obóz. Rzecz dla Niemców niesłychana, żołnierze odmawiają przyjęcia dowódców, dowódców niemieckich, a więc bunt, „Meuterei“. W kursie 3 p. p. leg. różnie się o tem mówi, na ogół nie pochwała się czynu podporucznika Minkowskiego. Ale ja go pochwalam i pochwalam go głośno; głośno o tem mówię w gronie kolegów legjonowych i austriackich,

jakkolwiek jeden z tych ostatnich po zajściu tem. ośmielił się oświadczyć — po niemiecku:

— Jetzt schäme ich mich, dass ich ein Pole bin!

Nie przypuszczałem, nie sądziłem, że tak prędko, że już na drugi dzień takie moje stanowisko zanotowane będzie u Niemców w rubryce mojego „opisu“, który niedługo potem zakończył się tak zaszczepną dla mnie uwagą „politisch verdächtig“...

Ktoś doniósł...



Koledzy legionowi zrozumieli wkońcu, że takiemu, jak ja i podobnym, jednak niewymownie musi być przykro, że odbiera się im kompanje, do których przywiązali się sercem polskiem i które do nich przywiązały się nie mniej i postanowili do pewnych oficerów austriackich, nie do wszystkich, wysłać delegacje z zapewnieniem, że akcją, skierowaną przeciwko Niemcom objęto nas tylko dlatego, że nosimy mundury austriackie, a nie polskie, przyczem miano też dać wyraz i temu, że nie wszyscy oficerowie austriaccy uważani są przez legionistów za Polaków, godnych munduru legionowego. A więc votum zaufania, względnie nieufności.

Oczekiwałem takiej delegacji. Nie zdążyła przyjść. Nie odebrano mi też kompanji. Musiałem się z nią pożegnać wśród innych, dla mnie jednak sympatyczniejszych okoliczności.

Bo już Niemcy wiedzą, że legjoniści zamierzają mnie wyróżnić, wiedzą słowo w słowo, co ja do legjonistów i oni do mnie na temat tego zaufania mówili i domyślają się nawet, dlaczego mam być wyróżniony: za pochwalenie czynu podporucznika Minkowskiego.



Było to 4 lipca o godzinie 5 popołudniu. Wzywają mnie do komendy, już nie pamiętam, czy kursu, czy bataljonu, ale pamiętam do dziś dnia i pamiętać będę całe życie, po co mnie wezwano...

Za biurkiem dowódcy siedział kolega mój z armji austriackiej, mój dobry znajomy jeszcze z pobytu w Bośni, z Sarajewa, kapitan Padlewski, za biurkiem adjutanta siedział oficer niemiecki, podporucznik Szyszka, jedyny z Niemców, przyznający się do polskości, rezerwista, z zawodu nauczyciel polski.

Kapitan Padlewski powstaje i wyprostowany na baczność w ten mniej więcej sposób przemawia do mnie w języku niemieckim:

— Jako najstarszy z oficerów austriackich w tym obozie, wzywam pana kapitana do zeznania

do protokołu, co panu jest wiadome o zamiarach oficerów legionowych wyrażenia pewnym oficerom austriackim jakiegoś votum zaufania i którzy oficerowie mają być przy tem pominięci, oraz jakie pan osobiście zajął w tej sprawie stanowisko. Protokół pisać będzie obecny tu podporucznik armji niemieckiej Szyszka. Przypominam panu kapitanowi przysięgę, złożoną na wierność Najjaśniejszemu Panu, cesarzowi Austrii, Karolowi, i wzywam pana do mówienia bezwzględnej prawdy.

W pierwszej chwili wydało mi się to wszystko śmieszne. Kolega Padlewski, z którym z dawna byłem na ty, tak rzadko widziany w nastroju poważnym, kompan tak wesoły, że w Warszawie nie było chyba dnia, względnie nocy, którejby poszedł spać przed wschodem słońca, teraz taki nadęty powagą, taki przejęty swoją misją, jak chyba tylko kat przy egzekucji skazańca...

Pierwsze pytanie brzmiało, dlaczego nie doniosłem jemu, jako najstarszemu w Ostrowiu Austrjakowi, o tem, że legioniści planują jakieś względem nas wystąpienia; odpowiedziałem, że nie uważałem tego za swój obowiązek. Drugie pytanie miało za cel wydobyć ze mnie, kto z oficerów legionowych był wynalazcą tego przedsięwzięcia; odpowiedziałem, że nie wiem. Na trzecie pytanie, kogo miały zaszczyścić delegacje legionowe, odpowiedziałem: — „O ile mi wiadomo, w Ostrowiu prawie wszystkich; z wyjątkiem pana kapitana”. — Potem jeszcze py-

tano mnie, co wiem o celu takiego wystąpienia oficerów legionowych i t. p.

Od kilku dni nosiłem przy sobie pismo, adresowane do Ministerjum wojny w Wiedniu, w którem prosiłem, aby pozwolono mi złożyć w wojsku austriackiem stopień oficerski i zwolniono mnie z obywatelstwa austriackiego, abym choć dzięki temu mógł wstąpić, niczem nieskrępowany, w szeregi wojska polskiego, o czem tak definitywnie mówił mój rozkaz pożegnalny. Do motywów tej prośby jeszcze powrócę. Teraz, gdy zaczął się nademną sąd austriacko-niemiecki, gdy najwyraźniej wszystko na to się składało, że lada dzień z *W e h r m a c h t u* mnie wyrzucą, pomyślałem sobie, że to chwila najodpowiedniejsza... Wyjmuję pismo z kieszeni, kładę je na biurku przed wystraszoną kolegą Padlewskim, dzwonię ostrogami i wychodzę.

Wyszedłem w aleję obozową. Dzień był przepiękny. Wciągnąłem do płuc zapas lipcowego powietrza i odetchnąłem tak głęboko, tak lekko, jak nigdy jeszcze w życiu. I na sercu zrobiło mi się dziwnie lekko... Właśnie moja kompanja powracała z ćwiczeń popołudniowych i śpiewała:

„...bezdomni my włóczędzy,  
dręczą nas Moskał, gryzą wszy —  
za Austrji skrawek nędzy...“.



Zaraz następnego dnia, a więc 5-go lipca, jakoś około południa, otrzymałem rozkaz, pisany w języku niemieckim, następującej treści:

„Na rozkaz Jego Ekscelencji Inspektora wyszkolenia „Polskiej siły zbrojnej“, pana generała piechoty Bartha, ma Pan jutro pociągiem porannym udać się do Warszawy i tam natychmiast po przybyciu zameldować się u przedstawiciela c. i k. A. O. K. przy General-Gouvernement Warschau, pana pułkownika Paica.

Wszystek bagaż należy ze sobą zabrać.

von Enckevort

podpułkownik i komendant kursu wyszkolenia 3 polskiego pułku piechoty.

„Polskiego pułku piechoty“ — ...von Enckevort!

Jasno z tego rozkazu wynikało, że wyrzucają mnie z Wehrmachtu z powrotem do wojska austrjackiego i że widocznie uważają mnie za bardzo „podejrzanego politycznie“, skoro każą mi natychmiast meldować się u Austrjaków.

Pierwszą myślą, jaka mną opanowała, była myśl o dezercji. Możeby jednak leguny „zadekowali“ mnie po swojemu? Znosi się jednak na to, że ich wszystkich niedługo „zadekują“, ale Niemcy, bo już zbliża się okres przysięgi i mówi się głośno o tem, że w związku z nią przyjdzie do buntu, do rozłamu. A koledzy austrjaccy, którzy już dowiedzieli się

o mojej eksmisji z Ostrowia, opowiadają mi, że Niemcy posadzają mnie także o buntowanie przeciwko składaniu przysięgi. Zresztą po wszystkich oddziałach legionowych pełno jest Niemców. Dezerterować do cywila wtedy właśnie, gdy tak gorąco pragnąłem być żołnierzem polskim, nie miało sensu i do takiej dezercji nigdybym jednak się nie posunął. Więc nie pozostaje nic innego, jak tylko usłuchać rozkazu...

Nakazuję ostatnią zbiórkę mojej kompanji. Miałem w niej kilku podoficerów i szeregowców legionowych i ci wywęszyli już, o co chodzi. Więc kompanja wita mnie okrzykiem:

— Nie damy pana kapitana!

Już nie pamiętam dziś, co powiedziałem na pożegnanie mojej kompanji, nie wiedziałem tego zresztą i wówczas, dzięki wzruszeniu... Pamiętam tylko, że po mojem przemówieniu chłopcy porwali mnie na ramiona i ponieśli przez obóz pod okna komendy kursu — ze śpiewem Roty Konopnickiej, że polało się trochę łez, a od uścisków dłoni żołnierskich długo bolała mnie ręka...

Żegnałem się jeszcze potem z kolegami oficerami. Do kasyna obozowego napłynęła na moje pożegnanie taka moc braci legionowej, że zrobiło mi się jakoś raźniej na sercu. Więc to jest wyrazem zaufania, więc nie jestem w oczach waszych Austriakiem! Do późnego wieczora trwała gawęda i rada, zwilżyliśmy trochę gardła i pośpiewaliśmy sobie ser-

decznie i o rozmarynie i o tem; jak to na wojence ładnie...

Nie pożegnałem się tylko z Niemcami i z najstarszym z oficerów austriackich...



Była godzina trzecia po południu dnia 6-go lipca, gdy meldowałem się przy ulicy Foksal w przedstawicielstwie austriackiego AOK. Przyjął mnie ów kapitan Zima, o którym już wspomniałem, że czytał się twardo Cima i oświadczył, że pułkownika Paića niema, ale, że on posiada upoważnienie do udzielenia mi dalszych rozkazów. Pułkownik Paić jednak był, bo najwyraźniej widziałem go przez okno, tylko albo nie uważał za godnego przyjęcia oficera, który wniósł prośbę o złożenie stopnia oficerskiego, albo obawiał się dopuścić przed swoje oblicze człowieka „politycznie podejrzanego“.

Naturalnie Austriacy z ulicy Foksal wykręcili, że to Niemcy z Nowego Świata są wyłącznymi sprawcami mojego wygnania, odwrotnie Niemcy twierdzili, że załatwienie mojej sprawy całkowicie przekazali Austriakom. Tak, czy siak, rozkaz brzmiał: „...ist mit dem nächsten Zuge zu entfernen, damit ihm keine Gelegenheit zum

Aufhetzen gegeben wird..." (...wydalić najbliższym pociągiem, aby nie pozostawić mu sposobności do podjudzania...). Kapitan Zima był w wielkim kłopotcie, gdyż była dopiero godzina trzecia popołudniu, a najbliższy pociąg odchodził coś dopiero o godzinie jedenastej wieczorem; proponował mi więc przeczekanie przy ulicy Foksal, jako, że w przejeździe mieszkania nie miałem. Podziękowałem jednak za uprzejmość i powiedziałem, że pragnąłbym jeszcze pożegnać się w Warszawie z moją narzeczoną. Wyszedłem z tem, że wieczornym pociągiem pośpiesznym mam udać się do kadry austriackiego 100 p. p. do Piotrkowa i tam czekać dalszych rozkazów.

Wpadło mi na myśl, pójść jeszcze do Komendy legjonów. Tam meldowałem się przyjechawszy, tam też się wymelduję wyjeżdżając. Myślałem przytem, może coś zaradzą. W poczekalni zastałem, zdaje mi się, wówczas majora (dziś generała brygady) Zagórskiego, o którym wiedziałem, że był szefem sztabu komendy; więc począłem przed nim się wynętrzać. Oficer ten jednak nie miał czasu wysłuchać mnie do końca, oświadczył pozatem, że ze sprawami tego rodzaju niema nic wspólnego i odesłał mnie do podpułkownika (dziś generała dywizji) Berbeckiego, który już objął był obowiązki szefa sztabu Komendy legjonów. Stałem przed człowiekiem, który nie pochodził z armii austriackiej, lecz rosyjskiej, o którym więc słusznie mogłem przypusz-

czać, że serdeczniej Niemców nienawidzi i że dlatego zajmie się moją sprawą, to jest moim powrotem do wojska polskiego, z którego jednak nie zamierzałem rezygnować. Istotnie oficer ten nienawidził Niemców i to do tego stopnia, że do dnia dzisiejszego wyraża się o nich z pogardą w rodzaju jakimś, mówiąc „*polnisches Wehrmacht*“, ale cóż mógł uczynić w takiej sprawie, jak moja, w Polsce ówczesnej, polski szef sztabu niby to polskiej „naczelnej“ komendy! Obiecał tylko, że będzie o mnie pamiętać. Współczuciu swemu dla mnie dał zresztą podpułkownik Berbecki dobitny wyraz w serdecznym ucałowaniu mojej wykrzywionej twarzy...

Potem istotnie udałem się do mieszkania mojej narzeczonej, dzisiejszej żony. Niestety nie zastałem jej w domu. Postanowiłem czekać, aż przyjdzie. Mieszkała na szóstym piętrze; z okienka jej rozciągał się cudowny widok na Wisłę. Usiadłem na oknie. Na pamięć przyszła mi piosenka o modrych falach Wisły, kończąca się refrenem: „Polska nigdy nam nie zginie, póki Wisła rzeźwi nas!“ Siedziałem tak długo, zapatrzony w te modre fale i powtarzałem w duszy raz po raz: „Polska nigdy nam nie zginie...“. Tymczasem nad brzegami Wisły zapłonął rój światełek. Czas był na pociąg. Nie doczekałem się narzeczonej. Jak się później dowiedziałem, nie było jej tego wieczora w Warszawie. Z tem smutniejszym sercem szedłem na dworzec wiedeński...

— Do widzenia Warszawo, ale niepodległa, do widzenia bez Niemców, bez Austriaków, bez Moskali — powtarzałem sobie w duszy, gdy pociąg mój ruszał.



Tych pięć miesięcy pobytu w „polskiej sile zbrojnej“ nie upoważnia mnie coprawda do twierdzenia, że służyłem w Legionach. Nie dlatego też zatytułowałem moje wspomnienia — legionowemi. Kiedy po przewrocie, przed weryfikacją oficerów, zgłaszających się do wojska polskiego, z wojsk trzech zaborów, przeważnie tylko — dla chleba, bez skrupułu co do swojej przeszłości, czyniłem starania o wzięcie mnie na listę oficerów legionowych — z tej właśnie racji, że byłem w Wehrmachcie, aby zadokumentować, że choć ciało moje służyło w armji austriackiej, duszą przez cały czas wojny byłem w polskich legionach, odmówiono mi, tłumacząc niemożnością uczynienia precedensu przez wzgląd na niektórych moich kolegów z tego czasu. Piętno munduru austriackiego pozostało na mnie aż do weryfikacji... A jednak przez tych pięć miesięcy czułem się naprawdę legionistą.

Służyłem coprawda w 3 p. p. leg., który gościnnie przyjął u siebie oficerów, przybyłych z armji austriackiej, niż to uczyniono w pułkach pierwszej

brygady. Tam przyjęto Austriaków z wyraźną zupełnie niechęcią. W 5 p. p. leg. dowódca, pułkownik Trojanowski, zapytał tylko: — „Po coście panowie tu przyszli? My was nie potrzebujemy“, — odwrócił się i wyszedł. W 1 p. p. leg. pułkownik Śmigły-Rydz spojrzał tylko na piersi meldujących się Austriaków i wskazując na austriackie odznaczenia, rzekł: — „My tego już dawno nie nosimy“ — i w ten sposób dał do zrozumienia przybyszom różnicę pomiędzy Polakiem, ubranym w mundur austriacki, a Polakiem, ubranym w strzelecką kurtkę pierwszej brygady. Niejeden z moich kolegów uczuł się wówczas osobiście powiedzeniem takim dotknięty, ale niektórzy zrozumieli, że nie mogło być inaczej. Tam chodziło o zasadę: albo wojsko polskie tworzy się wyłącznie z Polaków i to nie tylko odzianych po polsku, ale i szczerze czujących po polsku, albo go niema... W 3 p. p. leg. tworzone natomiast to wojsko polskie — za wszelką cenę... Nie chcę dyskutować o tem, kto miał słuszość. Twierdzą o sobie, że gdybym był znalazł się w 5, czy 1 p. p. leg., nawet większe upokorzenia byłbym był zniósł, przyjmując je pod adresem mojego munduru, nigdy mojej osoby, tak rozumiałem i tak odczuwałem psychologję żołnierza polskiego, który przez całe dwa lata krwawił o niepodległość, a któremu teraz narzucić chciano przybyszów austriackich i niemieckich.

I znowu zapytuję, gdzie jest ta wspólnota duchowa, gdzie zmowa w zamierzeniach pomiędzy polskimi legionami, a wojskiem austriackim, nawet w osobie wybranych z niej naogół nie najgorzej — Polaków?...



Podanie moje, które wniosłem dnia 5 lipca 1917 roku pod adresem c. i k. ministerjum wojny, brzmiało w dosłownem prawie tłumaczeniu jak następuje:

„Proszę o zezwolenie na całkowite przejście do armji polskiej, w razie potrzeby o odebranie mi stopnia oficerskiego w c. i k. armji i o zwolnienie mnie z poddaństwa austriackiego.

Prosbę moją uzasadniam jak następuje:

Żyjąc, jak każdy Polak, w silnie zakorzenionej we mnie, wrodzonej mi i z piersi matczynej wyssanej wierze, że jednak Polska musi kiedyś znowu powstać wolną i niepodległą, żywiłem już w mojej najmłodszej młodości w głębi mojego serca gorące pragnienie, idąc godnie śladami przodków, w szeregach wojska polskiego znaleźć cel życia i gdyby Bóg tego zechciał, także i śmierć bohaterską za wolność Polski.

Tymczasem część mojego serdecznego pragnienia spełniła się: wolne, niepodległe państwo polskie

zostało utworzone. Moja posłuszna prośba brzmi: pozwólcie także i reszcie mojego snu dziecięcego się spełnić, mojemu najgorętszemu pragnieniu zostania polskim żołnierzem.

Chciałbym wszystkie siły mojego życia, wszystkie zdolności moje i wiedzę poświęcić tworzącemu się wojsku polskiemu; czuję się też na siłach, dzięki memu dwunastoletniemu doświadczeniu, pracować tam owocnie. Ale to wszystko jest w austriackim mundurze niemożliwe. Żołnierz polski nie ma do mnie tego zaufania, jakiego miał, gdybym nosił mundur polski, oficer polski nie uzna nigdy oficera w obcym mundurze, jako przełożonego, co krok napotykam na trudności. Słyszę też, że w najbliższym czasie dowództwa obejmą wyłącznie oficerowie polscy, a więc legjonowi, zatem austriacy, na równi z niemieckimi, usunięci zostaną od właściwego współdziałania w tworzeniu wojska polskiego.

Przez tę ostatnią okoliczność czuję się w moim polskim patriotyzmie głęboko dotknięty, w położeniu takim nie mogę uzgodnić moich uczuć i dlatego proszę o pozwolenie przejścia do wojska polskiego.

Nie znalazłbym dosyć słów, gdybym chciał prośbę moją silniej jeszcze motywować, wiem jedno, że przez tę prośbę spełniam najgłębiej w mem sercu leżący obowiązek i proszę dlatego o życzliwe rozważenie tego podania...".

Dobrałem najpiękniejszych słów niemieckich, na jakie mnie było stać, dodałem jeszcze, że przecież i za Austrię gotów byłem oddać życie, narażałem je przecież na niebezpieczeństwa wojny chętnie przez 27 miesięcy bez przerwy, pozostając na froncie austriackim, że przecież Polska powstaje za wolą Austrii..



Przyjechałem do Piotrkowa, do kadry mojego macierzystego 100 p. p. Dowódca bataljonu zapasowego nie wiedział jeszcze nic, dlaczego powracam z polskiej siły zbrojnej, co zaszło, co w dalszym ciągu ma stać się ze mną.

Jakkolwiek w Piotrkowie zastałem sporo mych dawnych kolegów, z którymi poprzednio utrzymywałem był dobre stosunki, odseparowałem się całkowicie od wszystkiego, co mi przypominało Austrię i za jedyńych towarzyszy niedoli i powierników mojego żalu wybrałem sobie dwóch Polaków, lekarzy, cywilnego kontraktowego, dr. Jakubowskiego, który w Piotrkowie przebywał również na banicji, przeniesiony tu z wyzwolonego od Moskali Lwowa, gdzie stał się—podobnie jak ja w Warszawie—politycznie podejrzanym i wojskowego, dr. Klisiewicza. Tym dwóm zawdzięczam dużo słów pociechy. Służby żadnej nie pełniłem, bo rozkaz brzmiał: oczekiwać dal-

szych rozkazów. Chodziliśmy we trzech na dalekie spacery za miasto i z gazetami w ręku obliczaliśmy żywot Austrii, w której upadek, jak i w przegraną państw centralnych, nabraliśmy już byli niezłomnej wiary...

Zaraz po przyjeździe zabrałem się do pisania — zażalenia. Rozumując, że dobrze będzie wprowadzić do sprawy jaknajwięcej momentów, różniących Austrjaków z Niemcami, zażalenie zacząłem od słów:

„Proszę o wzięcie mnie w obronę przed niemiecką Inspekcją wyszkolenia polskiej siły zbrojnej i o zażądanie od niej zadośćuczynienia za wydalenie mnie z Warszawy w sposób, godzący głęboko w poczucie stanu oficerskiego i obraźliwy. W poszukiwaniu powodów mego wydalenia z wojska polskiego nie znalazłem poza mojem podaniem o złożenie stopnia oficerskiego niczego, coby upoważniło było Niemców do takiego obejścia się ze mną. Ponieważ mojem jedynem pragnieniem jest pozostanie w wojsku polskiem, proszę o zadośćuczynienie w tym właśnie kierunku“.

Opisałem następnie szeroko stosunki, jakie panowały w Warszawie w tworzącej się pod protektorem niemieckim Polskiej sile zbrojnej, napisałem, co było bezpośrednim motywem mojego postąpienia, wreszcie przytoczyłem słowa kapitana Zimy z AOK. *Vertretung*, że „Inspekcja nie chce znieść ani jednego dnia dłużej w polskiej armji c. i k. oficera, który w tak lekkomyślny sposób rozporządza swym

stopniem oficerskim i że dlatego uprosiła przedstawicielstwo c. i k. AOK., by tego oficera wydalono najbliższym pociągiem, aby mu nie pozostawić czasu do podjudzania". Te słowa były głównym motywem mojego zażalenia, gdyż w prośbie mojej nie było, jak dowodziłem, ani cienia lekkomyślności, lecz przeciwnie, była to decyzja, wypływająca z głębi mojego serca.

Nie będę nużyć czytelnika dalszemi motywami mojego zażalenia. Zakończyłem je prośbą o sądowe dochodzenie, aby w ten sposób wywołać proces, któremu możnaby było nadać jaknajwięcej rozgłosu.

Nie było jeszcze odpowiedzi ani na moje podanie, ani na zażalenie, kiedy — a było to dnia 18 sierpnia 1917 roku — przyszedł z Wiednia rozkaz, przenoszący mnie z cieszyńskiego 100 p. p. i z Piotrkowa do górno-austrjackiego, czysto niemieckiego 14 p. p., rekrutującego się z Linczu, tymczasem tam, do kadry. Zrozumiałem odrazu, że chodzi nie tylko o odłączenie mnie od wszystkiego, co polskie, ale i o wysłanie mnie za karę na front włoski.

Ukradkiem pojechałem raz jeszcze na jeden dzień do Warszawy, aby ostatecznie pożegnać się z narzeczoną i dnia 20 sierpnia opuściłem Piotrków, Polskę, sny o wojsku polskiem...



W Lincu rzeczywiście czekał już na mnie rozkaz natychmiastowego odejścia na front włoski.

Nie pójdę — powiedziałem sobie — póki nie będzie załatwione moje podanie o zwolnienie mnie z armji austriackiej i moje zażalenie na niemiecką Inspekcję *W e h r m a c h t u* — i zachorowałem...

W międzyczasie wniosłem jeszcze jedno zażalenie. Dowiedziałem się bowiem od kolegi z Wiednia, zajmującego stanowisko referenta w ministerjum wojny, że w jednym z pism, dotyczącem mojej sprawy, a podpisanem przez samego Beselera, nazwany zostałem „politycznie podejrzanym“. Nie chodziło mi o tę klasyfikację, z której mogłem być tylko dumny, a o to, aby nie pozwolić zasnąć załatwieniu mojego podania.

Dopiero 6-go sierpnia otrzymałem w Lincu decyzję.

Protokół, załatwiający moje zażalenie, brzmiał w dosłownem tłumaczeniu, jak następuje:

#### „P r o t o k ó ł

w sprawie zażalenia kapitana Stanisława Kwaśniewskiego przeciwko cesarskiej niemieckiej Inspekcji wyszkolenia z powodu wydalenia go z Legjonów polskich.

#### D e c y z j a !

Wniesione zażalenie zostaje, jako nie posiadające słuszności, odrzucone we wszystkich jego częściach — ostatecznie.

## M o t y w y:

Kpt. Kwaśniewski musiał zdawać sobie sprawę z tego, że w czasie odkomenderowania do Legjonów polskich powinien być pod każdym względem podporządkować się rozkazom i wskazówkom przełożonych komend niemieckich, działać podług ich intencji i powstrzymywać się od wszelkiego współdziałania narodowego, które sprzeciwiało się tym intencjom.

Skoro kpt. Kwaśniewski doszedł do przekonania, że tym warunkom z jakiegokolwiek bądź powodu sprostać nie jest zdolen, wolno mu było prosić o zwolnienie z dobrowolnie uzyskanego odkomenderowania, bez ściągnięcia na siebie winy karygodnego postąpienia.

Skoro zadaniem jego było, jako oficera c. i k. wojska, wyłącznie przyczyniać się do wyszkolenia Legjonów polskich i wobec tego z troską o zachowanie godności stanu oficerskiego i przynależności państwowej (*Heimatszuständigkeit*) powstrzymywać się w czasie tego odkomenderowania od wszelkiego współdziałania narodowego, niema podstawy do wniesienia sprzeciwu przeciwko decyzji komendy niemieckiej, której obecnie wyłącznie i nieograniczenie przypada prawo rozkazywania Legjonom polskim.

Kapitan Stanisław Kwaśniewski z 14 p. p. zostaje za takie zachowanie się w tej sprawie ukarany

przez Naczelne dowództwo surową naganą na piśmie, a mianowicie za to, że:

w całkowitem niezrozumieniu swego powołania, jako oficer c. i k. wojska, współdziałać jedynie nad wyszkoleniem Legjonów polskich, zachowywał się w sposób sprzeczny z warunkami jego odkomenderowania, następnie, że przez wniesienie spontanicznej prośby o złożenie stopnia oficerskiego i zwolnienie z poddaństwa austriackiego, spowodował niemiecką Inspekcję wyszkolenia do uzasadnionego powiedzenia, iż nie może ścierpieć ani dnia dłużej w polskiej armji c. i k. oficera, który w taki lekko-myślny sposób pomiata swym stopniem oficerskim i że dlatego prosi, aby tego oficera usunięto najbliższym pociągim, by nie dać mu sposobności do podjudzania, przez co przyniósł szkodę powadze korpusu oficerskiego siły zbrojnej, do której także w czasie swego odkomenderowania należał."

(Podpisany) Arz, generał piechoty.

Protokół ten załączony był do pisma AOK., skierowanego pod adresem Ministerjum wojny, a pismo to, między innymi, zawierało:

„Naczelne dowództwo uznało za stosowne ukarać kapitana Kwaśniewskiego nadzwyczaj łagodnie jedynie dlatego, że stosunki, w jakich znajdują się obecnie przydzieleni do polskich legjonów c. i k. oficerowie, mogą ich stawiać w położenie, w którym zachowanie się ich, może nawet pozbawione złej

woli, wymagać musi wyrokowania pobłażliwszego i łagodniejszego.

W sprawie wniesionej ponownie przez kpt. Kwaśniewskiego prośby o złożenie stopnia oficerskiego i zwolnienie z poddaństwa w celu przejścia do wojska polskiego, jest AOK. zdania, że:

wolno każdemu oficerowi prosić o złożenie stopnia oficerskiego. Z drugiej strony niema powodów, dla których prośbie takiej należałoby odmówić, jeżeli dla proszącego wartość zachowania stopnia oficerskiego wydaje się małą wobec innych ideałów.

Ze względu jednak na stosunki wojenne, podziela AOK. zdanie Oddziału 2/W, iż zwolnienie z szeregów wojska — jak długo trwa wojna — nie jest dopuszczalne.

To zdanie należałoby zakomunikować kpt. Kwaśniewskiemu z poleceniem zameldowania, czy w tych okolicznościach trwa przy swojej prośbie o złożenie stopnia oficerskiego, której zadośćuczynienie jednak żadną miarą nie zwolni go od obowiązku dalszej służby w c. i k. armji".

Darował cesarz Karol Beselerowi całe Legiony, ale jednego Austriaka sprawie polskiej podarować nie mógł... Taka to już była zmowa pomiędzy rządem austriackim a „galicyjskimi“ Legionami!

Raz jeszcze zaprotestowałem pisemnie przeciwko takiemu załatwieniu sprawy, teraz już silniej ude-

rzając w tę strunę, że przez decyzję niemiecką obrażony został c. i k. oficer, że Niemcy przypisali mi chęć jakiegoś podjudzania — przedwcześnie, a więc bezprawnie, że dlatego raz jeszcze proszę o wyjaśnienie co do zanotowania mnie na liście podejrzanych politycznie i najusilniej nalegam o przeprowadzenie postępowania sądowego.

W końcu tego pisma, datowanego dnia 6 października, napisałem dosłownie co następuje:

„Odstępuję od prośby złożenia stopnia oficerskiego, co miało być tylko środkiem do celu, skoro mi osiągnięcie tego celu, dopóki trwa wojna — określono za niemożliwe. Przecież nie dlatego chciałem złożyć stopień oficerski, aby potem jako szeregowiec służyć w dalszym ciągu w c. i k. armji, lecz jedynie dlatego, aby umożliwić sobie dostanie się do wojska polskiego, gdziebym stopień oficerski był znowu z pewnością odzyskał“.

28-go października odpowiedziało już nie AOK., lecz Ministerjum Wojny, krótką decyzją, że zażalenie zostało załatwione — ostatecznie, a o potrzebie postępowania sądowego rozstrzygają nie podkomendni, lecz przełożeni.

Nie łudziłem się, że zażalenie moje zostanie pomyślnie dla mnie załatwione. Wszak w wojsku podkomendny prawie nigdy nie ma słuszności, a im wyższe dowództwo rozstrzyga o zażaleniu, tem mniejsze bywają szanse uzyskania sprawiedliwości. Spostrze-

zenie to uczyniłem nie tylko w wojsku austriackim.

Tak zakończył się ostatecznie mój udział w Legjonach polskich...



Stałem się znowu oficerem austriackim, co się zowie. Nie było przed kim się poskarżyć słowem polskiem, nie było przed kim się wywnętrzyć. Pozostała mi tylko korespondencja, ale ta nie dość że strasznie długo szła z Polski i do Polski, jeszcze ze względu na to, że byłem „politisch verdächtigt” podlegała najwidoczniej specjalnej cenzurze. Zdarzyło mi się nawet, że z powodu depeszy, którą nadałem do mojej narzeczonej do Warszawy, treści zupełnie niewinnej, ale może nie dość dla cenzury zrozumiałej, rozpoczęto jakieś przeciw mnie dochodzenia policyjne, zainscenizowane naturalnie w niemieckiej Warszawie, które zakończyły się dla mnie pomyślnie tylko dzięki interwencji życzliwych mi, a wpływowych osób.

Skoro już wyczerpałem wszystkie środki awanturowania się z austriackim naczelnem dowództwem i niemiecką inspekcją polskiego wyszkolenia, postanowiłem wyzdrowieć. Sprzykrzyło mi się już w Lincu, w którym spędziłem blisko pięć miesięcy. Jak długo była jesień, a w roku 1917 jesień była cudowna

i mogłem używać przechadzek po przepięknej okolicy górno-austrjackiej, siedziałem — cicho... Przytem wstyd jakiś dziwny ogarnął mnie, że w czasie, kiedy po rozwiązaniu wszystkiego, co było w Legjonach prawdziwie niepodległościowem i po wysłaniu legjonistów, austriackich „poddanych“, na front włoski, ja — także legun — beczynnje pędzę dni, tygodnie, miesiące w instytucji, której nienawidziłem zasadniczo, a której na imię było „kadra“, zbiornik rekonwalescentów, ale i — tchórzów. Więc zgłosiłem, że jestem zdrow i gotów iść na front.

---

#### IV.

#### NA FRONCIE WŁOSKIM.

W pierwszych dniach stycznia 1918 roku otrzymałem dowództwo kompanji w bataljonie marszowym 14 p. p., odchodzącym na front włoski. Nie pamiętam numeru tego bataljonu, wiem tylko, że był on już bardzo wysoki; o bataljonie tym mówiono, że to już ostatni w tej wojnie, że Austria górna nie ma już więcej ani rekruta, ani rezerwisty. Pewnie już niedługo tej wojny — myślałem.

Nie było w tym bataljonie ani jednego Polaka; sami Niemcy i trochę Czechów, przydzielonych tutaj, aby nie mogli tak łatwo, jak wśród swoich, przechodzić na stronę nieprzyjaciela. Dziwnie nieswojo czułem się w tem nowem środowisku, bo jednak przez cztery przeszło miesiące pobytu w Lincu nie nawiązałem z niem żadnych bliższych stosunków; nawet do kasyna oficerskiego nie chodziłem, wymawiając się zawsze chorobą, lub dając do poznania, że jako „politycznie podejrzany“, jak długo nie przeprowadzono w mej sprawie postępowania sądowego, za obowią-

zek swój uważam, nie narzucać się korpusowi oficerskiemu. Teraz w szeregach, idących na front, kole-dzy sami zwrócili się do mnie z objawami tej słynnej austriackiej *Kameradschaft*, której pomimo wszystkiego nie mogę odmówić pewnych cech dodatnich i starali się wciągnąć mnie do swojego grona. W żaden jednak sposób nie mogłem się z niem pogodzić, nie potrafiłem za nic zmusić się do powrotu do dawnych stosunków austriackich i w dalszym ciągu unikałem kolegów. Tylko do moich podkomendnych, oficerów i szeregowych, zwróciłem się z sercem jak dawniej otwartem i ciepłym, z sercem żołnierskim, bez którego nie mógłbym być dowodzić taką jednostką, jak kompanja, wymagającą najwięcej bezpośredniości; rozumowałem, że chociaż kompanja to niemiecka, jednak życie tych ludzi oddane jest w moje ręce, na które jak i na każdy krok niedoszłego oficera polskiego, ze wszech stron z ciekawością patrzano. Nie wolno było mnie, legjoniście, za którego się uważałem, przynieść wstydu formacji, do której chociaż tylko duszą, ale duszą całą byłem zapisany. Dręczyło mnie i to przeświadczenie, że na front posyłają mnie za karę, mnie, który do końca 1916 roku, na froncie rosyjskim, niebezpieczeństw wojny nie tylko nie unikałem, ale wręcz świetnie wśród nich się czułem. Tam wiedziałem coperwada, z kim i o co się biję, tu, z Włochami nie miałem wielkiej ochoty walczyć... O tem referent mojej sprawy w Wiedniu musiał jednak wiedzieć bardzo dobrze.

Dnia 9 stycznia bataljon mój wyruszył transportem kolejowym w kierunku frontu włoskiego.

Jednak blisko pół roku nieba były jakoś dla mnie łaskawe i trzymały mnie zdala od spotkania z Włochami.



Miesiąc przesiedziałem, jako dowódca grupy marszowej, złożonej z pięciu kompanij, w środkowym Tyrolu, na południu od Brixen, w St. Christina, wiosce położonej w cudownej dolinie Groeden.

Dobrze mi tam było. Zima była przepiękna, słońce w południe dopiekało jak w lecie, powietrze — na wysokości 1500 metrów — pozwalało oddychać raźniej i myśleć weselej.

Pod wieczór, po skończonych ćwiczeniach, kiedy szczyty Selli i niebotycznego Lang-Kofla oblewały się różem zachodzącego słońca, siadałem przy okienku mojej kwatery i pisałem listy, listy do Polski. Ale Polska jeszcze milczała...



Trzy miesiące przebyłem jeszcze w Wiedniu, dokąd 10 lutego ściągnięto cały 14 p. p. na asystencję.

Obawiano się wówczas rozruchów głodowych w stolicy, karmionej już tylko chlebem kukurydzianym, na kartki. Ściągnięto z frontu włoskiego pułk górno-austrjacki, czysto niemiecki, cieszący się opinią najwięcej patrijotycznego.

Skończyło się jednak na paradach...

Jedna z tych parad odbyła się przed cesarzem Karolem, na słynnym placu musztry, zwanym Schmelz, podobno dlatego, że na nim żołnierze topnieli od potu i strachu przed przełożonymi.

Obiecywałem sobie, że na tej paradzie wystąpię przed cesarzem z zażaleniem na niesprawiedliwe wydalenie mnie z Warszawy i odmowne załatwienie mej prośby o zwolnienie z wojska austriackiego. W pamięci miałem przygotowaną formułkę przemówienia, możliwie najkrótszą, ale zawierającą wszystko, o co mi chodziło.

Cesarz, jak zawsze na paradach, miał również przygotowanych i wyuczonych na pamięć kilkanaście pytań, które przejeżdżając przed frontem oddziału, bezmyślnie stawiał oficerom i szeregowym. Więc oficerów zapytywał: jak dawno jest pan w pułku, jak długo był pan na froncie, za co otrzymał pan to i to odznaczenie i t. p. Na pytanie pierwsze, o ile oficer odpowiedział, że dawno, cesarz zauważał „to piękny pułk“, o ile zaś — niedawno, zapytywał jeszcze: z którego pułku pan przyszedł i po uzyskaniu tej drugiej odpowiedzi dodawał „to także piękny pułk“.

Po tej paradzie wydało mi się, że i ja nie gorszym mógłbym być cesarzem...

Godzinę całą czekaliśmy na przyjazd najjaśniejszego pana. Przyjechał najwidoczniej niewyspany i w złym humorze. Ze stołeczka czerwono-złotego dosiadł rumaka i puścił się galopem przed front. Orkiestra grała hymn z takim hałasem, że własnego słowa nie można było dosłyszeć. Ale sypały się pytania i odpowiedzi.

Stałem na skrzydle 13-ej kompanji, konno i potarzałem po cichu swoją formułkę...

Przypadło mi pytanie jego cesarskiej mości:

— Jak dawno jest pan w pułku?

— Dopiero od pół roku — odpowiedziałem.

— A z którego pułku pan przyszedł? — brzmiało drugie pytanie.

— Z Legjonów polskich, wydalony przez niemiecką Inspekcję wyszkolenia...

Nie dokończyłem ani połowy przygotowanej odpowiedzi, nie zdążyłem jeszcze powiedzieć, za co wydalony i że z tego powodu wniosłem zażalenie, które, zdaniem mojem, rozstrzygnięte zostało niesprawiedliwie, gdy cesarz raczył zauważyć:

— To także piękny pułk (auch ein schönes Regiment) — i ruszył dalej...

Na „spocznij“ wyrzuciłem coprędzej ze ściśniętego gardła resztę niedokończonej formuły, wyuczo-

nej na pamięć, ale już przetłumaczoną na język polski: „Do jasnej cholery, bodaj was wszyscy djabli!” — i obróciłem kompanją do defilady...



Jeszcze blisko miesiąc przesiedziałem w Bruck a/d Leitha, dokąd przeniesiono mnie dnia 3 maja w skład tworzącego się bataljonu szturmowego dywizji nazwanej „szarotką” (E d e l w e i s s d i v i s i o n), prawdopodobnie znowu za karę, za ową niestosowną odpowiedź cesarzowi, że przyszedłem do 14 p. p. z Legjonów polskich, wówczas, gdy dowódca pułku uważał, że powinienem być odpowiedzieć, że przyszedłem doń z niemniej pięknego 100 p. p. wojska austriackiego.

Ale z przeniesienia nie byłem niezadowolony, bo w bataljonie szturmowym znalazłem dwóch oficerów Polaków, podporucznika Solowskiego, o którym jeszcze opowiem i porucznika Michurę, dowódcę taboru bataljonowego.

Otrzymałem kompanję i równocześnie, jako najstarszy kapitan, mianowany zostałem zastępcą dowódcy bataljonu.



Z końcem maja znalazłem się wreszcie w Tyrolu południowym, w okolicy Levico, a 14 czerwca już na samym froncie włoskim, pod Il Buso, w wozie Frenzela, u stóp olbrzymiego Col del Rosso.

Jakbym wstąpił do piekieł. Wojując dotychczas tylko na froncie rosyjskim, pojęcia nie miałem o tem, co działo się tutaj, na froncie włoskim...

Dowodziłem półbataljonem szturmowym, który o świcie dnia 15-go poprowadzić miałem do szturm na Col de Rosso, z ostatnią próbą austriackiej ofensywy. Na bataljon szturmowy „szarotka” liczono jak na amen w pacierzu, nie przypuszczano, że oddając jego połowę w ręce polskie, może niezawodne, ale nie mające przeznaczenia bić się z Włochami, traciło dowództwo bodaj czy nie najważniejszy atut wygrania bitwy. Nie twierdzą, że przezemnie, ale w każdym razie w znacznej mierze przez wypadki podobne do niżej opisanego — dzień 15 czerwca 1918 roku nie przyniósł Austrii powodzenia i był ostatnim dniem próby i zawodu.

Półbataljon mój składał się wyłącznie z Niemców, kilku zaledwie było w niem Czechów, oficerowie byli Niemcy, z wyjątkiem jednego, podporucznika Solowskiego, którego obrałem sobie za adjutanta. Jeszcze tylko mój ordynans, którego przyprowadziłem był ze sobą z 100 p. p., choć Rusin, poczciwy Petrynka, mówił po polsku. Więc tych dwóch Polaków nie wypuszczałem ani na chwilę ze swego otoczenia. Oni, myślałem, doniosą, gdybym poległ, o mo-

ich ostatnich słowach w Krakowie i w Warszawie, bo jakieś niedobre dręczyły mnie przecucia.

Stosownie do rozkazu ugrupowałem swój oddział pod olbrzymią, wysoką ścianą wąwozu, zwróconą ku nieprzyjacielowi, przeprowadziłem wywiad dla naszego jutrzejszego zadania i oddział spoczął. Dwustu kilkudziesięciu ludzi przytuliło się do skały, kładąc się niemal jeden na drugiego, aby wyzyskać przesterzeń martwą dla nieprzyjacielskiego ostrzału artyleryjskiego. Zdawało się, że jesteśmy bezpieczni w tem piekle, w którym ani na chwilę nie ustawała strzelanina.

Zapadła noc. Wąwóz cały zapełnił się jucznymi końmi, które przyniosły amunicję i żywność dla oddziałów zmasowanych w tym wąwozie, na podobieństwo śledzi w beczce.

Na miejscu, gdzie ulokowałem półbataljon, zastałem kilka bud skleconych z desek. W budach tych spoczęli moi oficerowie. W jednej z nich spocząłem też sam z moim adjutantem, ja na pryczy, podporucznik Solowski pod pryczą, obok nas Petrynka. Przy zapalonych świeczkach napisaliśmy jeszcze listy do swoich, a następnie, ułożywszy się do snu, tylko na trzy godziny, gdyż zaraz po godzinie 1-szej trzeba było wyruszyć na Col de Rosso, na dobranoc poczęliśmy gwarzyć o — Polsce.. I on miał coś wspólnego z Legjonami, pochodził ze Lwowa, był w Legjonie wschodnim. Piękna to była polska dusza...

Nagle, była godzina jakoś jedenasta, zgasły nasze świece i rozległ się tuż przy nas huk nie do opisania. To ciężka mina włoska, skąd przysłała, do dnia dzisiejszego nie zdaję sobie sprawy, uderzyła w sam środek mojego zmasowanego oddziału.

Choć trzykrotnie, ale względnie lekko trafiony odłamkami miny, czy skały i gruzów, jakie równocześnie posypały się na nas z wysokiej ściany, zerwałem się na równe nogi i wybiegłem przed budę. Druga mina i eksplozje granatów ręcznych, których każdy z żołnierzy miał przy sobie po sześć, dopełniły zniszczenia. Kiedy z ordynansem mym, Petrynką, zapaliliśmy świece, by rozejrzeć się w położeniu, oczom naszym przedstawił się widok okropny. Jęk i wołanie o ratunek rozdzierały serce... Pod pryczą, na której leżałem, konał adjutant mój, podporucznik Solowski, jedyna polska dusza w moim otoczeniu niemieckim, konał — z rozstrzaskaną głową... Już usta jego nie zdążyły wypowiedzieć ostatniej woli, ale ja poznałem poprzednio tę wolę, wolę, by powstała Polska niepodległa...

Półbataljon nie poszedł do szturm.

Do wschodu słońca naliczyłem z nieszczęsnego oddziału coś 52 zabitych i 73 rannych, a więc — połowa. Telefoniści i łącznicy, którzy przykucnęli byli tuż obok mnie, poszarpani; z oficerów pięciu ciężko rannych...

Kiedy po zameldowaniu o wypadku dowódcy brygady, wczesnym rankiem dnia 15 czerwca opusz-

czałem wąż Frenzeli, zaślany chyba tysiącem trupów ludzkich i końskich, szedłem utykając mocno na prawą nogę, której piętę miałem porządnie pokaleczoną, myślałem sobie:

— Chyba to cud, że z tego piekła wychodzę cało, z lekkiemi tylko obrażeniami, chyba nie było przeznaczenia, abym za swoje tak gorące pragnienie służenia w wojsku polskiem odpokutować miał śmiercią na froncie włoskim, jak sobie może tego życzył referent mojej sprawy legjonowej w Wiedniu...

Wypadek mój doszedł później do wiadomości włoskiej — z raportu austriackiej brygady, w której skład wchodził mój półbataljon szturmowy, przejętego z jeńcami w czasie przewrotu i opisany został po wojnie w historii wydanej przez włoski sztab generalny — z wymienieniem mojego nazwiska.



Sześć tygodni przebyłem w szpitalu i dopiero z końcem lipca powróciłem raz jeszcze na front włoski.

Niedługo po przybyciu zdarzyło się, że musiałem objąć zastępstwo dowódcy bataljonu, gdyż ten odszedł na „Hinterland” chory, a naprawdę wyrzucony przez dywizję za jakieś awantury pijackie i podobne. Zatrzymałem dowództwo to już do końca pobytu mego na froncie włoskim i wogóle w wojsku austriackiem.

Zrazu niezręcznie było mi dowodzić bataljonem, który — bodaj czy nie słusznie — uważał się za wybór wojska austriackiego i nazywał się tak pięknie: „E d e l w e i s s t u r m b a t a i l l o n”. Skąd ja, Polak, w dodatku politycznie podejrzany, do takiego zaszczytu — myślałem. Praca nad wyszkoleniem bataljonu, który po ostatniej ofenzywie czerwcowej czas dłuższy nie brał bezpośredniego udziału w walkach, a tylko przygotowywał się w specjalnych obozach ćwiczeń, w pierw w okolicy Bozen, w Pinzonie, potem w okolicy Roveretto, w Aldeno, — przyniosła mi jednak znaczną ulgę w mojem rozgoryczeniu.

Tymczasem Austrija zaczęła się pomału walić...

I znowu niezręcznie było mi przemawiać do podkomendnych mi dwudziestu kilku oficerów niemieckiej narodowości, takich co się zowie t r e u b i s i n d e n T o d — austriackich patriotów, synów Górnej Austrii i Solnogradu, chyba najgoręcej do austriackiej mocarstwowości przywiązanych, kiedy doszła na front włoski wiadomość o akcie cesarza Karola, zapowiadającym rozpadnięcie się Austro-Węgier, podział Galicji pomiędzy Polaków i Rusinów i t. d. Dławiłem się z radości, że f i n i s A u s t r i a e, dławiłem się ze złości, że nowy przygotowuje się rozbiór jeszcze niesklejonej Polski. Ale przemówić musiałem, bo wśród oficerów mojego bataljonu zaczęły się rozmowy sprzeczne z dyscypliną wojskową, a tak niesympatyczne dla mnie, bo prowokujące mnie do wypowiedzenia się o sprawie. Po-

wiedziałem więc jakąś mowę, w której dałem przede wszystkim wyraz zadowoleniu, iż kończy się tyloletni przelew krwi — i nadziei, że nam wszystkim dalsze wypadki i pokój przyniosą jednak stosowną nagrodę za trudy i nieszczęścia wojny; dalej zawyrokowałem stanowczo, że nie do nas żołnierzy należy polityka i zabroniłem rozmów, wprowadzających różnice w tak skonsolidowanej jednostce...

W duszy wyrwałem się do Polski, do Polski jaknajprędzej!



Już miałem pozwolenie na urlop, o który poprosiłem — w przewidywaniu niedługiego końca, zaraz w pierwszych dniach października, ale mój nowy dowódca bataljonu nie przyjeżdżał. Koleje, zawałone transportami Węgrów, którzy już z wolna wycofywali się z frontu włoskiego, nie przewoziły poszczególnych osób, oficerowie, czy urlopowani, czy chorzy, czy nawet przeniesieni służbowo, mieli rozkaz pozostawania na miejscu, gdziekolwiekby się znajdowali.

A już zanosilo się na katastrofę nad środkową Piawą...

Dnia 19 października otrzymuję rozkaz jaknajszybszego podążenia z bataljonem marszami pieszymi przez dolinę Val Sugany tam właśnie. Nie pozostaje mi nic innego, jak poprowadzić bataljon. Tylko Pe-

trynkę z plecakami posyłam do Tryjentu i każę mu tam czekać tak długo, na dworcu kolejowym, aż przybędę po zwolnieniu z dowództwa bataljonu. Drapnę wkońcu, choćby piechotą, o ile następca mój wnet się nie zjawi, — myślę sobie w duszy.

Jakaż była moja radość, gdy po trzecim dniu marszu, u wejścia do miasteczka Borgo, zdaleka dostrzegłem mojego wybawcę, majora Ontla, oczekującego na bataljon. Przyjechał pierwszym, dozwolonym dla urlopowanych, pociągiem, tak kazał mu jego patriotyzm austriacki. Zsiadłem coprędzej z konia i jak najspieszniej począłem przekazywać majorowi Ontlowi bataljon, po prostu w przemarszu, tłumacząc, że dziś jeszcze pragnąłbym zdążyć na pociąg w Tryjencie, gdyż mam z domu niepokojące wiadomości, śpieszę się nadzwyczajnie do kraju...

— Nie wiem, — powiada major Ontl, — czy się jeszcze zobaczymy, bo jakieś niedobre mam przeczucia co do dalszych naszych losów. Pewnie nie wrócisz już do nas. Ja idę spełnić — zdaje się — ostatni obowiązek...

— Życzę szczęścia — powiadam — ja też przypuszczam, że już nie powrócę!

Poza majorem Ontlem nie pożegnałem się z nikim w E d e l w e i s t u r m - bataljonie, a dziwnie lekkim wydało mi się to rozstanie. Prawdziwie żałowałem tylko mojej klaczy Zuzi, którą dostałem w Brucku, a którą serdecznie polubiłem.

Miałem za sobą dnia tego już 15 kilometrów, zrobionych konno z bataljonem, ale jak nic zrobiłem jeszcze 30 — sam, piechotą, aby do wieczora zdążyć do Tryjentu, do wojskowego pociągu pospiesznego, który odchodził jakoś około północy — na północ...

Na dworcu w Tryjencie, na plecakach, siedział mój ordynans, poczciwy Petrynka, siedział tak już przeszło trzy dni. W rękę trzymał „K u r j e r k a k r a k o w s k i e g o”. Widocznie wyczytał w nim coś o Polsce, bo na mój widok rozszerzyła mu się twarz od ucha do ucha i zapytał:

— Panie kapitanie, my chyba już więcej tutaj nie wrócimy?

— Nie wrócimy już nigdy! — odpowiedziałem.



Pociąg pośpieszny z napisem „wyłącznie dla wojskowych”, odchodzący w dniu 23 października 1918 roku z Tryjentu do Wiednia, był tak przepełniony, że tylko dzięki silnym łokciom, moim i mego Petrynki, udało mi się ulokować w nim moje plecaki i przykucnąć na nich, na korzytarzu wagonowym. Do dnia dzisiejszego pamiętam tę udrękę i to zmęczenie po 45-kilometrowym marszu z Levico do Borgo i z Borgo do Tryjentu, odbyłym w jednym i tym samym dniu, dniu pamiętnym pożegnania Austrii — na zawsze.

Pomimo tak wielkiego zmęczenia w żaden sposób nie mogłem zasnąć; nie dlatego, że siedziałem, a raczej kuciałem nad wyraz niewygodnie, bo na wojnie nauczyłem się spać w pozycjach najniewygodniejszych, ale dlatego, że ciążyła mi głowa — jak nigdy jeszcze w życiu. Cała wojna od sierpnia 1914 roku do października roku 1918 przesuwała się przed moimi zmęczonemi oczyma i nie pozwalała im się zamknąć... Przegrałeś Austrjaku! Tyle trudu, tyle mozołu, tyle krwi bratniej przelanej w niwecz! — Ta myśl ciążyła mi więcej, niż ta druga: co będzie dalej, co będzie teraz z Polską? Wygrałeś Polaku! Wygrałeś niedoszły legjonisto! — powtarzałem sobie w duszy lekko i wesoło. Już możecie złożyć *a d a c t a* i moje podanie o zwolnienie z wojska austrjackiego, i moje zażalenie! Mam was w dozgonnej pamięci, wy, kreatury austrjackie, obłudnicy i faryzeusze! Nie mieliście odwagi postawić mnie pod sąd, o który prosiłem, wygaliście się nakazem pobłażliwego potraktowania zbuntowanego oficera, Polaka! Przeczuwaliście, że już niedługo waszych rządów na ziemi polskiej! Skończyły się...

Pociąg był pośpieszny, ale mnie wydawało się, że jadę — towarowym...



Urlop miałem do Krakowa, Zakopanego i Warszawy.

W Krakowie zatrzymałem się jednak tylko cztery dni i jeden dzień w Zakopanem, dla zobaczenia się z bratem. Śpieszyłem się do Warszawy...

A jednak jeszcze na jedną napotkałem przeszkodę. Na wjazd do Warszawy musiałem prosić Niemców o pozwolenie i do tego celu musiałem nawet użyć poważnej protekcji. Złość wzięła mnie z tego powodu nie do opisania. W czasie, w którym Austria rozpadała się już w gruzy, przegrana niemiecka była już zupełnie widoczną, prosić o pozwolenie na wjazd do stolicy Polski — Niemców! O ironjo! Ale trudno, inaczej nie wpuszczonoby politycznie podejrzanego, zbuntowanego c. i k. oficera...

## V.

### W WOJSKU POLSKIM.

Już 31 października 1918 roku znalazłem się w Warszawie. Jeszcze rządzieli Niemcy, ale szefem polskiego sztabu generalnego był już generał Rozwadowski. Zdjąłem „bączka“ austriackiego i nałożywszy na czapkę austriacką legjonowego orzełka, jeszcze tego samego dnia udałem się do generała, który wszak musiał mnie pamiętać z 12 dywizji austriackiej. Owszem pamiętał, przyjął bardzo serdecznie i — odesłał do oddziału personalnego swego sztabu, którego szefem był podówczas, o ile sobie przypominam, już major, dziś pułkownik szt. gen. Iwanowski.

Z majorem Iwanowskim służyłem w roku 1917 w jednym i tym samym batalionie 3 p. p. leg. w Ze-grzu, choć niedługo, bo kolega Iwanowski był w Wehrmachcie kandydatem na oficera sztabu generalnego i dwa miesiące dowodzenia kompanją w obozie rekruckim miały mu tymczasem — podług

programu niemieckiego—wystarczyć do dalszej wojskowej kariery.

— A więc jestem nareszcie. Cóż ze mną zrobicie?

— Wiesz — odpowiada kolega Iwanowski, — że trudno mi cośkolwiek ci powiedzieć... My zasadniczo nie zamierzamy przyjmować oficerów z armji austriackiej, ale takich jak ty — naturalnie... Coś się znajdzie, poczekaj... Nawet i z tymi oficerami legjonowymi, którzy odmówili przysięgi, jeszcze nie wiadomo, co będzie... Może tymczasem zasiądziesz w moim oddziale, myśl doskonała, obejmiesz sprawę przyjęcia właśnie austriackich oficerów do wojska polskiego. Co do starszeństwa, to jeszcze nie wiadomo, ale w każdym razie oficerowie Wehrmachtu awansować będą przed innymi, bo przecież jedynie oni mają stosowne przygotowanie do wojska polskiego, w którym pozostanie musztra niemiecka; więc nie zrażaj się tem, że ja przeskoczyłem ciebie, kapitana już w roku 1917, z porucznika na majora, wszystko się wyrówna, jakoś to będzie...

Niezbyt sympatycznym wydał mi się taki początek służby mojej — już na dobre — w wojsku polskim, po 13-letniej służbie zawodowej w wojsku austriackim, myślałem, że do czegoś lepszego się nadam, ale — jakoś to będzie, pomyślałem i ja i zasiadłem do tej roboty.

Przychodziły do mnie różne Austriaki, mówiące po polsku lepiej lub gorzej, przychodzili i zadni ofi-

cerowie, którzy dzisiaj są chlubą wojska polskiego, to prawda, ale większość tych ludzi, którzy zgłaszali się do mnie, to były te same c. i k. kreatury, przed którymi dopiero co uciekłem... Więc prędko przeprosiłem kolegę Iwanowskiego i podziękowałem za tę robotę, która przejmowała mnie — wstrętem.

Począłem chodzić z prośbą o inny przydział do zastępcy szefa sztabu generalnego, podpułkownika Nieniewskiego i w sumie przesiedziałem chyba z 48 godzin w poczekalni tego oficera, zanim mianowany zostałem tymczasowym szefem tymczasowego oddziału naukowego przy Sztabie generalnym.

Nauki jeszcze nie było, nie było komu i nie było jeszcze kogo uczyć, bo jeden od drugiego umiał wszystko lepiej, nie było też i czasu. Zabrałem się więc tymczasem do opracowania przeróbki z austriackiego podręcznika „Walka wręcz” dla oddziałów szturmowych, gdyż to było moje ostatnie i najgłębsze studjum w armji austriackiej, w bataljonie szturmowym.

Niedługo biedziłem się nad nauką. Niebawem wypadło mi raz jeszcze pójść w pole...



Zaraz po Bożem Narodzeniu 1918 roku zawezwał mnie do siebie Szef Sztabu Generalnego, generał Szeptycki i rozkazał mi objąć obowiązki szefa

sztabu grupy pułkownika (dziś generała dywizji) Kulińskiego, odchodzącej w pierwszych dniach stycznia z odsieczą pod Lwów.

Poszedłem z zapalem. Rozumiałem, że wtedy dopiero stanę się prawdziwym polskim żołnierzem, nie gorszym od legionistów czy też „wehrmachtowców”, gdy wezmę czynny udział w walce bezpośredniej o utrwalenie polskiej niepodległości.

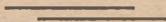
I tak się stało.

Przeszedłem w bojach z Ukraińcami z Rawy Ruckiej przez Żółkiew do Lwowa, jako szef sztabu dowódcy, który z biegiem czasu zaskarbił sobie w wojsku polskim powszechne uznanie, jako dowódca w całym słowa znaczeniu rzetelny i dnia 13 stycznia 1919 roku — w czasie wypadu z Lwowa pod Kulparków — zostałem ranny.

W chwili, gdy po napisaniu meldunku sytuacyjnego do przełożonego grupy generała Romera, wyszedłem z chaty, w której mieściło się dowództwo pułkownika Kulińskiego, aby odprawić ułana, ukraińska kula karabinowa przeszła mi pierś...

Kiedy tego samego dnia wieczorem w szpitalu — na politechnice lwowskiej — począłem się dusić od krwotoku z rany i zimny pot począł oblewać moje skronie, było mi jednak tak błogo i tak spokojnie, jak nigdy dotąd w życiu. Poczucie spełnienia po raz pierwszy w życiu obowiązku krwi za Ojczyznę, w szeregach polskich, górowało nad wszystkim...

Kiedy podszedł do mnie ksiądz z ostatnią spowiedzią i począł pytać o różne przewinienia, mówić już nie mogłem, bo nie miałem w piersiach zalanych krwią tchu, ale głos duszy mówił mi jednak wyraźnie, że w niebie wybaczone mi już wszystkie grzechy i nawet ten najcięższy, że służyłem zawodowo w wojsku austriackim...



## ZAKOŃCZENIE.

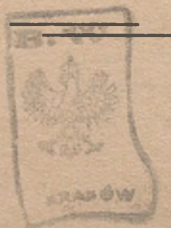
Dalej o wojsku polskiem pisać już nie będę, poczekam, aż przy pomocy boskiej — za lat kilkanaście przejdę w stan spoczynku. Trudno byłoby mi bowiem w dalszym ciągu mych wspomnień pominąć milczeniem to wszystko złe, które z wojsk zaborczych, nie tylko z austriackiego, ale i rosyjskiego, w wojsko polskie wsiąknęło i czego do dnia dzisiejszego wykorenienić jeszcze nie zdołano. A przecież pisać o tem zawodowemu oficerowi nie wypada. Ponadto jestem gorącym zwolennikiem „zespoleń wojska“ i wybaczenia przeszłości tym wszystkim, którzy dziś jeszcze serdecznie pragną się poprawić. Za lat kilkanaście może już nikt z zawodowych oficerów nie zgorszy się tym dalszym ciągiem moich wspomnień.

Więc kończę.

Tymczasem chodziło mi o dowód, że pomiędzy Legionami polskimi, powstałymi w czasie wojny światowej po stronie frontu państw centralnych a armjami czy też rządami tych państw nie było nigdy ani duchowej wspólnoty, ani zmywy w zamie-

rzeniach, że wszystko, co się mówi o Legionach „galiczyjskich“, jako o narzędziu austriackiego AOK, czy też Beselera, jest kłamstwem politycznym. Powtarzam, że na myśli miałem ciągle i wyłącznie Legjony walczące. Ten dowód, zdaje mi się, udało mi się przeprowadzić w sposób przemawiający do przekonania.

Będzie to dla mnie najwyższem zadowoleniem, jeżeli przez wydanie tych moich wspomnień, wspomnień legjonowych oficera austriackiego, z czasu zmagania się o polską niepodległość paru tysięcy walczących — wówczas, gdy miliony wygodnych wyczekiwały wyniku wojny z rękami założonemi, przyczynię się do poparcia tej prawdy historycznej, do której wypowiedzenia — w przedmowie do tomu II „Wspomnień legjonowych“ — wzywa swoich żołnierzy zwycięski Naczelny Wódz, Pierwszy Marszałek Polski, Komendant Józef Piłsudski.



## SPIS RZECZY:

	Str.
Przedmowa . . . . .	7
<b>I. Przed wojną:</b> . . . . .	11
Po maturze, jednoroczny ochotnik. — Jak zostałem zowodowym oficerem austriackim.—Spotkanie z profesorem. — W Bośni. — Z powrotem w Krakowie, strzelcy i Austriacy.	
<b>II. Na froncie rosyjskim:</b> . . . . .	20
Wybuch wojny, nastroje austriackie. — Krakowska 12 dywizja piechoty. — Jak i komu spieszyło się na wojnę. — Pierwsza bitwa, Annopol,—Księżomiesz. — Bezpośrednie spotkanie dowództwa 12 dywizji z nieprzyjacielem. — Charakterystyka ekscelencji K. — Pod Borzechowem. — Odwrót z pod Lublina. — Spotkanie z Beliniakami w Rożkach. — W pałacu magnackim w okolicy Ostrowca. — Pod Jednią, szpieg.—Wioska z dziecinnych lat. — Koniec 1914 roku. — Przed Gorlicami. — W armji Mackensena. — Stosunki koleżeńskie. — Zdobycie Brześcia Litewskiego. — Wzięcie Pilawy pod Buczaczem. — Koniec 1915 roku. — Polska kompanja w 100 p. p. austriackiej. — Nadzieje legionowe i urlop. — Polak czy	

Niemiec dowódcą 100 p. p. — Krzyż legionowy w Karpatach. — Kandydatura do wojska polskiego. — Pierwsze pożegnanie armji austriackiej. — Koniec 1916 roku, w Wiedniu.

Str.

**III. Przez Warszawę do Lincu: . . . . . 73**

W oczekiwaniu powołania do Legionów. — Przywitanie w Warszawie. — Czy tylko mówiący po polsku. — Kurs piechoty w Jabłonie. — Kurs karabinów maszynowych w Rembertowie. — Ausbildungskursus 3 p. p. Leg. w Zegrzu. — W Ostrowiu, na równi z Niemcami. — Votum zaufania. — Protokół o to votum. — Rozkaz wyjazdu i pożegnanie Ostrowia. — Pożegnanie Warszawy. — Czy służyłem w Legionach. — Moje podanie o złożenie stopnia oficerskiego. — W Piotrkowie, zażalenie na Niemców. — W Lincu, decyzja AOK. — Powrót do wojska austriackiego. —

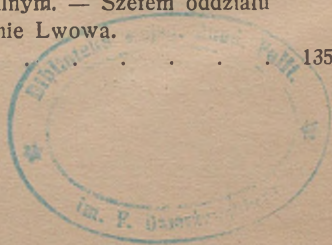
**IV. Na froncie włoskim: . . . . . 114**

W bataljonie marszowym. — W St. Christina, listy do Polski. — W Wiedniu, przed cesarzem. — W Bruck a/d Leitha, w bataljonie szturmowym. — Col del Rosso, w piekle Frenzeli. — Dowódca „Edelweissturm-bataljonu“. — Pożegnanie na zawsze. — W pociągu Tryjent — Wiedeń — Pozwolenie na wjazd do Warszawy.

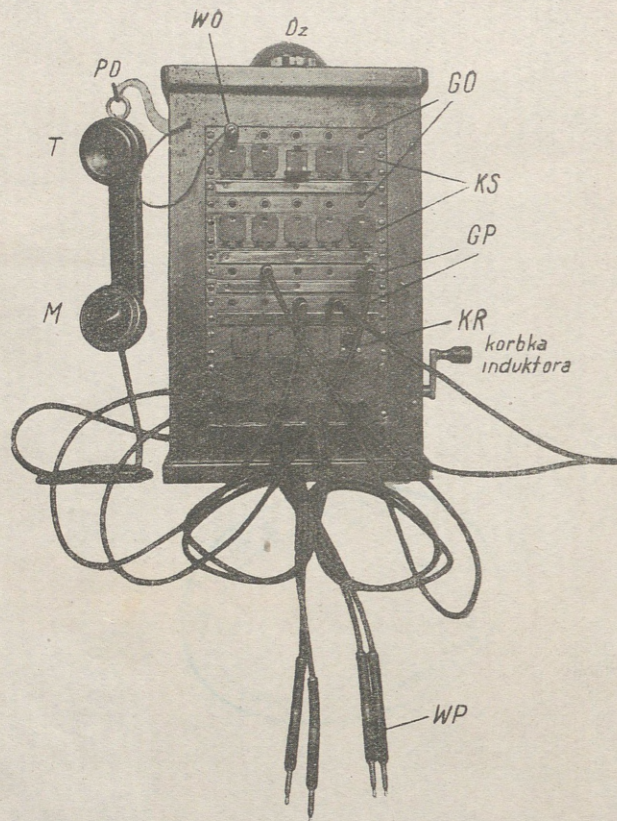
**V. W wojsku polskiem: . . . . . 130**

W oddziale personalnym. — Szefem oddziału naukowego. — W obronie Lwowa.

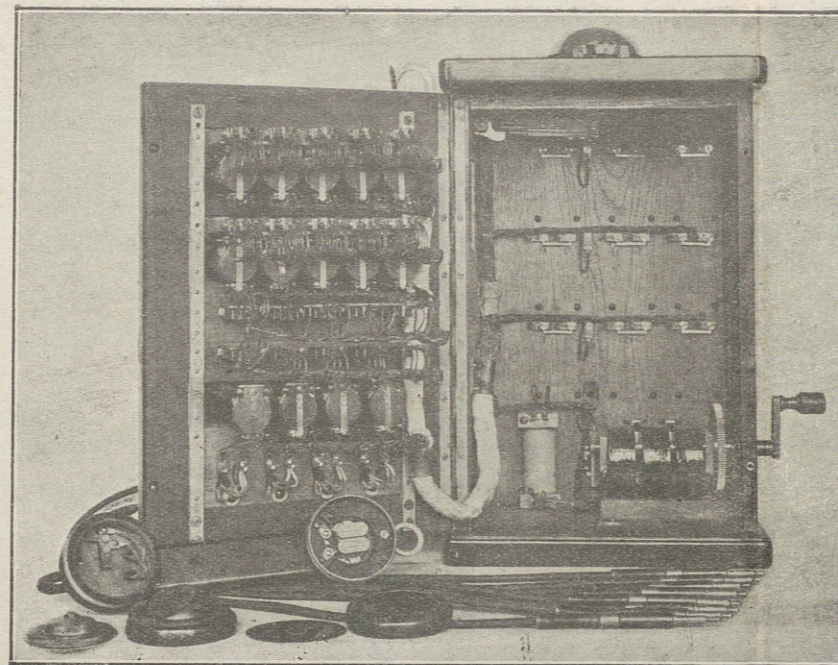
**Zakończenie . . . . . 135**



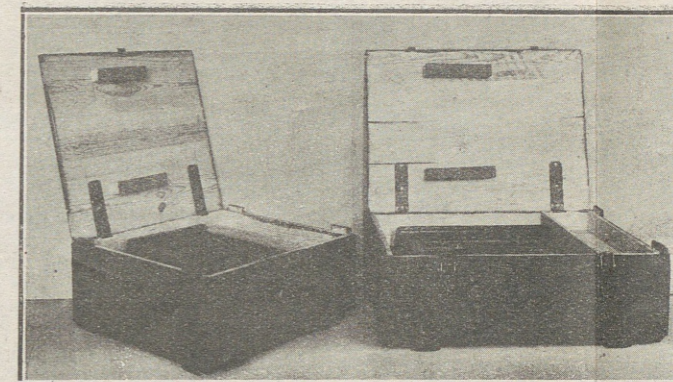
50/110



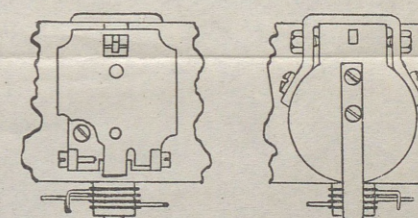
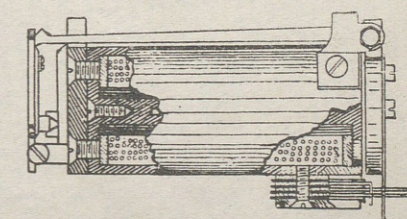
Rys. 1. Łącznica BM-05 na 10 połączeń.



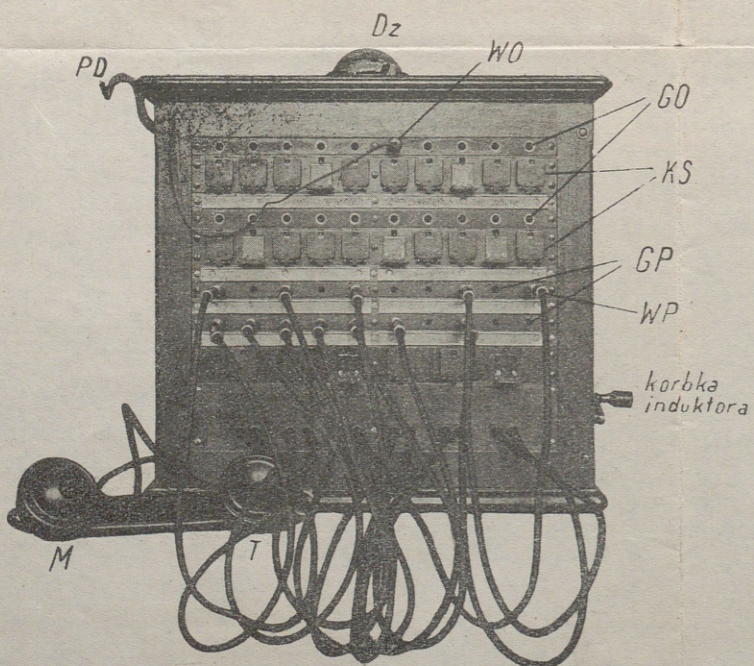
Rys. 3. Wnętrze urządzenia łącznicy MB-05 na 10 połączeń.



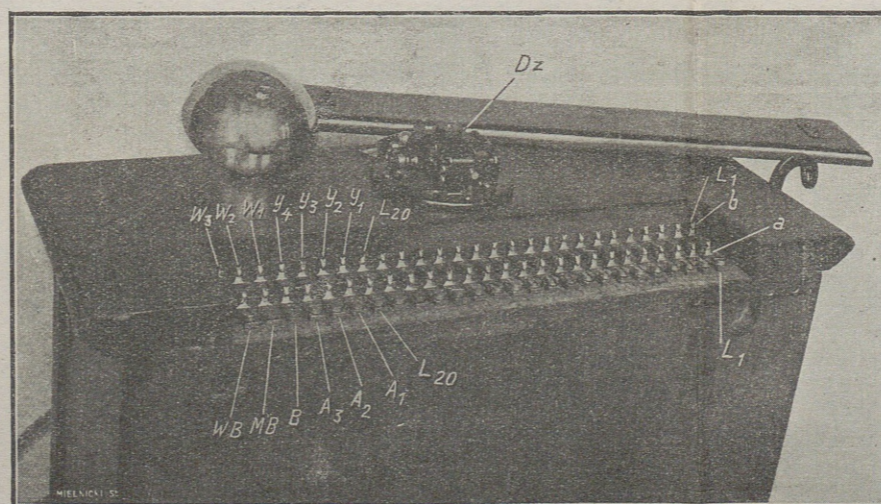
Rys. 4. Skrzynie do opakowania kompletów łącznic BM-05 na 10 i 20 połączeń.



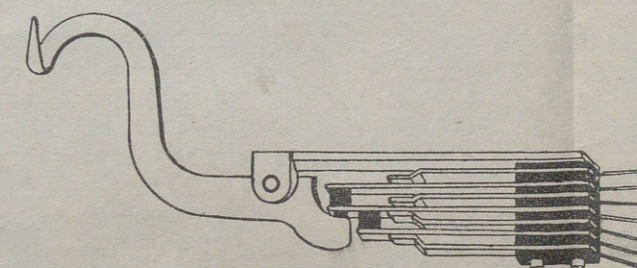
Rys. 5. Mechanizm klapy widziany z boku, z przodu i z tyłu.



Rys. 2. Łącznica BM-05 na 20 połączeń.



Rys. 7. Zamki zewnętrzne łącznicy BM-05 i dzwonek.



Rys. 6. Przełącznik dźwigniowy.



26328

1